N. 26. WARSZAWA d. 19 Czerwca (1 Lipca) 1871 ROKU.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

KAROL GOLDONI I JEGO EPOKA

PRZEZ

Stanisława Iz....

Literatura włoska XVIII wieku czuła konieczną potrzebę odrodzenia i poprawy smaku, ale zamiast zaczerpnąć nowych sił, w zawsze świeżo bijącem źródle prawdziwego natchnienia i poezji, w sercu ludzkiem, i zawsze młodéj, zawsze wdzięcznéj naturze, zwróciła się w przeszłość, stawiając sobie za wzory pisarzy XIV i XVI wieku. Natchnienie przygłuszone w samym zarodku, skrzydła rozpięte do lotu podcięte mi odrazu, tym kierunkiem wstecznym zostały. Dzieła ówczesnych autorów mają zaletę starannego wykończenia, często poprawnéj formy, harmonji wiersza, znajdziesz w nich język dźwięczny, malowniczy koloryt, siłę i szlachetność wyrażenia, ale nie znajdziesz nigdy prawdziwéj siły uczucia i namiętności. Naprożno nadsłuchiwałbyś tam brzmienia delikatnych a serdecznych tonów, w które dusza ludzka tak bogata, naprożno szukałbyś poruszonych ważnych kwestji żywotnych, wyzywających myśl do śmiałego lotu, do posuwania badań coraz daléj, coraz głębiéj, aż do bijącego światłem źródła prawdy.

Rozwiązanie takich kwestji, to nieraz rozwiązanie zagadki życia i śmierci dla ludzi, ale wymaga ono głębokich badań, gruntownych studjów, genialnéj intuicji rozświecającéj ciemne zawiłości. Pisarze włoscy z XVIII wieku nie patrzą tak daleko, nie sięgają tak głęboko, prześlizgują się po powierzchni rzeczy, wypadków, myśli, przekonań, nie dotykając gruntu,—mogą też tylko zająć, zaciekawić, nie wzruszą, nie wstrząsną sercem człowieka.

Zkąd im ta niemoc, obok przebłysków prawdziwego talentu? Dla czego mając tuż pod ręką życie ludzkie, tuż przed oczami naturę, nie szukają natchnienia, nie biorą skazówek, ani od jednego, ani od drugiéj? Aby to zrozumieć, musimy zbadać epokę wśród któréj żyli, bo człowiek może się wynieść nad swój czas, nad otaczające go okoliczności, ale się od nich całkowicie oderwać nie zdoła.

Duch czasu w którym autor żyje, wyrabia pojęcia, zasady, potrzeby społeczne, których popęd i rozwinięcie śledzi chciwie, młody, świeży jego umysł. Natura kraju wpływa na kierunek jego fantazji, inaczéj obrazującéj swe utwory pod jasnym włoskim błękitem, inaczéj wśród mglistéj północnego nieba atmosfery. Charakter współczesnéj literatury ze swemi dodatniemi i ujemnemi stronami, odbija się na jego dziełach, przesiąka ich treść, bo trudno się oderwać gałęzi od pnia, z którego wyrasta. Narodowość która go wypiastowała, nadaje mu pewien wybitny kierunek, jest dla niego ogniskiem pewnych przetrawionych już pojęć, o życiu rzeczywistem i jego celach. Wszystkie te warunki w rachunek wziąść należy, jeżeli chcemy poznać wartość pisarza, ocenić bezstronniéj jego zalety i wady, odtrącić co wypada na rzecz ducha czasu, spółczesnych okoliczności, namiętności czasowych i narodowego stanowiska.

Na utworach scenicznych pisarzy włoskich XVIII wieku, znać czas w którym żyją, znać niebo włoskie i temperament włoski, znać wpływ literatury ówczesnéj, narodowości nie ma ani śladu, nie ma też wybitnego piętna indywidualnego. Gdyby nie zewnętrzna forma, nie natura języka, nie wiedzielibyśmy że ich twórcy są Włochami, gdyby nie żywość djalogu i umiejętne prowadzenie akcji, odnośnie do potrzeb sceny, utwory te nie byłyby nawet ciekawemi.

Całéj poezji dramatycznéj tego czasu brakuje oryginalności, wybitnego tła, wszystkie postacie poruszają się w nieokreślonéj przestrzeni.

Zjawiskiem nadzwyczajnem jest Italja.

W sercu Włoch, na okazałym tronie, podwójną bo ziemską i duchową silne potęgą, zasiadło Papiestwo. W myśli jego i przedsięwzięciu rozległem, szerokiem, Rzym miał powrócić rolę raz już odegraną na świecie, raz jeszcze miał stać się panem świata całego, nie orężem już ale potęgą moralną miał go podbić, duchowemi połączyć ogniwy, w swych rękach zatrzymując oba końce łańcucha. Zaledwie Italja odetchnęła po napadach barbarzyńców i pod Lombardami w państwo się formować zaczęła, Papież wzywa obcéj pomocy i jedność Włoch się rozpada, za Klemensa VII powtarza się to samo we Florencji i narodowość włoska ginie, a na jéj gruzach wznosi się i rozmaga Papieztwo. Najpotężniejsze głosy wzniosłych i dzielnych inteligencji, protestują: Nieśmiertelny Dante, Bokacy, Petrarka, Machiawel, Savonarolla.

Papieztwo każe Italii wyrzec się ziemskiéj, dla duchowéj potęgi, w zamian za panowanie nad jednym krajem, obiecuje jéj panowanie nad całym światem. I cóż ztąd że upadnie jako naród, kiedy wszystkie narody ziemi przyjdą ukorzyć się do jéj stóp, cóż że straci swąindywidualność, gdy potężna swym duchem, odszuka wszystkie swe tętna w całéj ludzkości.

Przed Italią rozciąga się szeroki, wzrokiem nieogarniony, myślą niedościgniony horyzont; hasać po nim do woli może najbujniejsza fantazja, najniepowściągliwsza duma. Upaja ją żądza chwały, wielka ambicja o zawrót przyprawia, porywa położenie nadzwyczajne, ginące aż w chmurach, a jednak na ziemi zastosowanie znaleźć mające. Przystaje na układ; w obec téj przyszłości, wielkich obietnic pełnéj, poślubia kosmopolityzm i wierna raz przyjętemu kierunkowi, dokonywa całopalenia czekając na spełnienie wielkich swych przez nacześń. Ale obietnice i nadzieje zawodzą. Italia postawiła cel swój nie w sobie, ale po za sobą, ścigała go przez wieki i nigdy dosięgnąć nie mogła, bo kręciła się w zaczarowanem kole. Włosi jeszcze długą drogę mają przed sobą, na każdem polu, politycznem czy literackiem—wchodzą już na nią.

Ale wróćmy się jeszcze w przeszłość, aby wyczerpawszy dzieje, lepiéj pojąć niejasne ludu tego drogi.

Wiemy już jak ideał narodowy ustąpił miejsca ideałowi religijnemu — ten przynajmniéj powinien użyźnić jałową niwę, natchnąć nowem życiem i myśl ku Bogu zwróconą, prawdy poszukującą, na nowe pchnąć tory, nowe systemata filozoficzne wywieść z łona teologji. Zapewne geniusz Italji niezwykłym na téj drodze zajaśnieje blaskiem, skoncentrowawszy w tem jednem ognisku wszystkie żywotne sw-

siły, najśmielsze prześcignie marzenie i wieniec najwyższego myśliciela od Europy odbierze. Ale i tu nowy zawód. Piastowanie religijnego ideału, rozszerzanie promieni jego działalności, należy wyłącznie do duchowieństwa. Pozbawiony narodowego i religijnego źródła natchnienia, gdzież Włoch skieruje orli lot swej fantazji, zostaje mu scena powszedniego życia, musi więc wziąść się do szkicowania drobnych towarzyskich objawów. Tak ciasnym zakreślony horyzontem, musi on ruszać się, żyć, działać, musi na drobne, malutkie rzeczy zużywać siły serca i myśli rzuty.

Dość rzucić okiem na literaturę włoską XVIII wieku, a uderzy nas jaskrawo wybitny brak natchnienia. Włosi opiewają zawierane śluby, obłóczyny, doktoryzacje, miłostki. Frugoni najpłodniejszy swego czasu poeta, napisał 60 sonet po sobie następujących do skąpca Ciacco, wierszyk do doktora, który mu zabronił czekolady, a inny, gdy mu krew na jesień puścić kazał. Casti napisał 100 sonetów do swego wierzyciela, akademia medjolańska opłakiwała wierszem śmierć Balestrerego. Wszystkie te drobnostki okolicznościowe, dobre dla kółka znajomych jakże ubliżają znaczeniu i powadze literatury, która swych zwolenników na kapłanów namaszcza! Na dowód zaś jak dziwne miano o poezyi wyobrażenie, dosyć przytoczyć, że Lorenzi'emu przedmioty z fizyki, dawano jako temata improwizacji. Plagą owczesnéj literatury, była śmieszna nadętość, gminna bufonada i pewien rodzaj ciasnéj a drobniutkiéj elegancji, z wyłączeniem wszelkiéj prostoty i serdecznych porywów. Sonety Cassianiego i Minzoniego, poetów wybitniejszych przez współczesnych, odznaczają się bogactwem i przepychem kolorytu, ale wieje z nich chłód, brakiem uczucia spowodowany.

W obec takiego nastroju pisarzy i zniżonego gustu publiczności i teatr odpowiednie miał stanowisko.

Przedsiębiercy stojący na czele teatru, jeden tylko cel mieli, przyciągać, przywabiać liczną publiczność, któréj usposobieniu i smakowi naturalnie schlebiali, nie przebierając w środkach. Autorowie znów dramatyczni pisali sztuki zastosowane ściśle do przepisów z góry nakreślonych, nudne, czcze, usypiające, na które nikt nie chodził. To też przedstawiane były rzadko, a lud włoski miał swych odrębnych dostarczycieli, których zadaniem było tylko podać temat, osnuć niejako kanwą, a aktorowie improwizowali na tem tle sztukę, wprowadzając zawsze charakterystyczne i ulubione od ludu typy Poliszynela i Arlekina.

W takich to warunkach, wśród takiéj epoki, przyszedł na świat Karol Goldoni, należący do pisarzy, używających we Włoszech wielkiéj wziętości i sympatji. (d. c. n).

PORADNIK

DLA ZBIERAJĄCYCH RZECZY LUDOWE

NAPISAŁ

Dr. Jan Karłowicz.

Dowodzić wielkiego dla nauki znaczenia rzeczy ludowych, lub zachęcać do ich zbierania, dzisiaj sądzę, byłoby rzeczą zbyteczną: z niezliczonych rozpraw, pism i odezw w tym przedmiocie, ogół przynajmniéj ukształcéeńszy, pojął już dawno, że płody twórczości ludowéj są wielkiéj wagi, że codzień giną, że zatem zbierać je jak najprędzéj i co najpilniéj należy.

Nie wszyscy jednak wiedzą dokładnie: *co i ile dotychczas w tym kierunku uczyniono, a co najważniejsza, czego jeszcze potrzeba, co i jak zbierać.*

Co do pierwszego zapytania. Niewątpliwie zrobiono u nas w sprawie zbierania i ogłaszania rzeczy ludowych wiele, bardzo wiele, lecz i to nie ulega wątpliwości, że pozostaje do wykonania więcéj, daleko więcéj niż zrobiono. Nie chcę tem zdaniem wcale ubliżyć pilnym pracownikom na tem polu: jeżeli nie zgromadzili wszystkiego, to pewno zabrakło im nie chęci, lecz możności. Rzeczy ludowych bowiem nigdzie literaci sami nie są w stanie zebrać w całéj, a przynajmniéj w znacznéj ich obfitości, bez udziału i pomocy wykształceńszéj części społeczeństwa. Przekona się łatwo każdy, kto choć chwilowo dotknął téj gałęzi pracy, iż pojedyncze usiłowania literatów, przy ich teoretycznych zajęciach, mimo chęci najszczerszéj, praktycznéj stronie zadania ani w setnéj części podołać nie zdążą, bez współudziału myślącego i czytającego ogółu.

Odpowiadając przeto na zapytanie: ile dotąd w sprawie zbierania rzeczy ludowych dokazano, wyjaśnić starałem się, czemu owoce dotychczasowéj pracy są niedostatecznemi, a to mię zmusiło potrącić o pierwszy cel tego pisemka, mianowicie o kwestyę: *kto ma zbierać rzeczy ludowe?*

Odpowiedź na to krótka: gdy literaci z powołania nie są w stanie, jak powiedziałem, podołać ogromowi zadania, ponieważ ich jest na to za mało i ponieważ są i powinni być zajęci nie tyle zbieraniem, ile obrabianiem zasobów, ażeby więc dopiąć celu, muszą się odwołać w imię potrzeby naukowéj do ukształconéj części towarzystwa, wzywając każdego, aby ile mu czas i możność dozwoli, zbierał surowe materjały i takowe składał w ręce literatów, jeżeli sam nie poczuwa się na siłach do ich opracowywania. Czy zbierze mało, czy wiele, przyniesie niezawodną korzyść dla nauki, w stopniu odpowiadającym mierze jego pracy.

Przechodzę teraz do drugiego zadania mojego pisemka, do wyjaśnienia kwestji: *co i jak należy zbierać?*

Wprzód jednak kilku słowami przypomnę, jakie nauki korzystają ze zbiorów rzeczy ludowych, wskazówka ta przeznaczenia objaśni w części sposób gromadzenia.

Językoznawstwo (filologja porównawcza, lingwistyka), *mitologja* (wiaroznawstwo) i *ludoznawstwo* (etnografja) czerpią bezpośrednio i żyją prawie wyłącznie ze źródła rzeczy ludowych; *dzieje starożytnictwa* (archeologja), *dzieje prawodawstwa, estetyka, poezja i muzyka* bardzo wiele z niego korzystają. Zastanowimy się bliżéj nad tem.

Językoznawstwo gałęź nauki nowa, owoc myśli XIX wieku dopiero, na tym stopniu rozwoju, jak je dziś widzimy, naucza: że żaden język, ani sam przez się, ani w stosunku do innych, bliżéj lub daléj z nim spokrewnionych, nie może być gruntownie zbadanym bez ścisłego poznania go w czasie i przestrzeni, to jest w jego historycznym rozwoju i miejscowych objawach, czyli mówiąc po prostu: bez jego dziejów i form prowincjonalnych, oraz nazw ludzi i miejsc. Historja języka ma już gotowe źródła drukowane i pisane, bo się zajmuje przeszłością mowy; ze zbiorów więc gwar ludowych pośrednio tylko i cząstkowo korzysta. Opis zaś języka dzisiejszego w jego przestrzeniowych odmianach, żyje wyłącznie i jedynie z zasobów żywych, ze zbiorów rzeczy ludowych.

Koniecznie więc potrzebny jest nam *jak najobszerniejszy słownik prowincjonalizmów* (powiatowszczyzn); a takowy nie inaczéj da się ułożyć, jak tylko zbiorowym współudziałem wszystkich mieszkańców oświeconych. Mamy wprawdzie już sporo zasobów na to dzieło, nie uważam tu jednak za rzecz stosowną wyliczać szczegółowo co w tym kierunku zdziałano, bo odzywam się do ogółu czytającego, ale nie do literatów; pomijam takież wyszczególnienie materjałów drukowanych i w innych oddziałach płodów twórczości ludowéj, dość myślę zapewnić wykształconą cześć publiczności, że chociaż wiele uczyniono, więcéj jednak pozostaje do zrobienia, a jeżeli kto zapisze wyraz, formę lub zwrot prowincjonalny taki, który już gdzieś był drukowany, to to nie tylko nie będzie zbytecznem, ale owszem najpożądańszem, bo najczęściéj poda formę z innéj okolicy, w innem znaczeniu lub szyku używaną, przez co nowem światłem znaną rzecz otoczy.

Oprócz prowincjonalizmów ogromna część wyrazów rzeczowych, kryje się w nazwach miejsc i ludzi, imiona własne bowiem bez wyjątku pochodzą od rzeczowych. Nazwiska przeto ludzi i miejscowości są dalszym ciągiem, dopełnieniem słownika; bywają nawet nieraz jedyném, a najczęściéj uzupełniającém wyjaśnieniem wielu ciemnych pierwiastków i form, jak wzajemnie językoznawstwo rzuca często światło na imiona zaciemnione wiekami lub zatraceniem pierwotnego poczucia ich znaczeń.

Potrzebujemy tedy koniecznie *najzupełniejszego zbioru wszystkich imion własnych czyli nazwisk mieszkańców i miejscowości*, bez tego nie możemy się spodziewać nigdy dokładnego zbadania języka. Mamy i do tego inwentarza trochę materjałów, szczególnie do nazw miejscowości, ale że zgromadzane były nie tyle dla językoznawstwa ile dla innych widoków, nie odpowiadają przeto dokładnie celom językowym, a mianowicie nie posiadają odpowiedniéj zupełności i dokładności.

Mitologja (wiaroznawstwo), nauka młodsza jeszcze od lingwistyki, bo zaledwie lat około dwudziestu licząca (ma się rozumieć w nowéj swéj a doskonałéj postaci), mało mając w dziejach zapisanego materjału (przynajmniéj w krajach słowiańskich), czerpie głównie z tego co niszcząca ręka czasu oszczędziła z dawnéj przeszłości. Podania (klechdy, bajki, legendy, tradycje), niektóre pieśni, zagadki, przysłowia, gadki, przypowieści, oracje, ucinki, przesądy, zabobony, zamawiania, zaklęcia, gusła, zwyczaje i obyczaje, życie codzienne, dom, narzędzia, strój, czarY, lekarstwa, obrzędy i obchody, gry i zabawy ludu,— oto główne na dziś źródła mitologji przedchrześcijańskiéj. Zebrano u nas nie mało tego, ale co najmniéj drugie tyle buja, nie ujęte piórem, po wsiach i niwach naszych, niknąc codzień w zapomnieniu.

Potrzebujemy więc *najpilniejszéj i jak najśpieszniejszéj pomocy światłego ogółu, do zgromadzenia najpełniejszego zbioru wyżéj wymienionych zabytków*, i tu bowiem usiłowania literatów zgoła nie wystarczają.

Ludoznawstwo (etnografja) w odmienny wprawdzie sposób, ale także prawie wyłącznie z powyższych źródeł korzysta. *Dzieje, starożytnictwo* (archeologja), *dzieje prawodawstwa* i w ogóle *dzieje uspołecznienia* (cywilizacji), ileż ważnych odkryć, wskazówek, potwierdzeń lub zaprzeczeń swych wywodów zawdzięczają już, lub zawdzięczać pewno będą z jednéj strony zasobom mitologicznym od ludu zebranym, z drugiéj językoznawstwu i jego materjałom. Przychodzimy przecież powoli do przekonania, że dzieje w najobszerniejszem rozumieniu ich znaczenia, są nieprzerwaną historją społeczeństwa ludzkiego całego, lecz nie pewnych jego klas lub czasowych objawów, że wewnętrzna strona żywota dziejowego głównie na uwagę zasługuje; ileż więc zasobów do

tak pojmowanych dziejów tkwi w mało z téj strony zbadanych obrzędach ludowych, zwyczajach, pieśniach, przysłowiach i t. d. *Estetyka* (pięknoznawstwo), *muzyka i poezja* odświeżają się kąpielą w źródłach poezji i muzyki ludowéj, znajdują w nich mnóstwo wskazówek początku sztuki i całe morze natchnienia. Dość wspomnieć zachwycające nas utwory Mickiewicza, Deotymy, Lenartowicza i Moniuszki, rozwinięte z kropli tego niewyczerpanego morza. Zbiory tedy powyższe i dla tych nauk i sztuk bogatą są kopalnią. Lud bowiem, ten największy konserwatysta, jak przedwiekowy, głęboko zaryty w ziemi kamień, przechował wierne odciski roślin i muszli dziś nieznanych, treść ich ciekawa i naucząjąca, a forma nowa dla nas i oryginalna, a tem samem wdzięczna, i jedna i druga dla ukształceńszych zapomniana, przeżyta, miniona, lecz tem niemniéj godna bliższego poznania. Boć ukształceńcza część społeczeństwa, to tylko naprzód w cywilizacji wystrzelona, misterniejszą wyżywiona karmą latorośl, wielkiego pnia ludowego. Czem się on żywił i żywi od wieków,to dały życie i téj latorośli późniejszéj, choć widząc się tak od pnia różną nie chce czasem, częściéj nie umie rozeznać swego rodu, a jednak pień ten od niéj starszy i zostaje z nią w stosunku przyczyny do skutku, ojca do dziecięcia.

(d. c. n).

ZACISZE

POWIEŚĆ S. J. TURGENIEWA

tłomaczona z rosyjskiego.

(Dalszy ciąg.)

— Powtórzę, co już powiedziałam, mówiła daléj Nadzieja Aleksiejewna zwracając się do Astachowa, szkoda że pan wyjedziesz. Prawda mamy tutaj jednego pierwszego kochanka, sam się zaprasza, lecz tego wziąść niepodobna.

— Kto taki? jeżeli wolno wiedzieć.

— Bodrjakof, poeta. Czyż to dla poety być pierwszym kochankiem. Naprzód, on tak ubiera się, że aż strach patrzeć, powtóre pisze epigramata a przed każdą kobietą, nawet wyobraźcie sobie przede mną, traci przytomność, szepcze, nie wie co z rękami zrobić i Bóg wie co jeszcze. Powiedz mi panie Astachof, czy to wszyscy poeci są tacy.

Włodzimierz Siergieicz zlekka wyprostował się.

— Nie znam ani jednego z nich osobiście a nawet przyznam się, nigdy znajomości ich nie szukałem.

— Tak prawda, przecież to pan jesteś człowiekiem praktycznym. Trzeba będzie wziąść Bodrjakowa, nie ma rady. Inni jeszcze gorsi, ten przynajmniéj roli na pamięć się wyuczy. Mania oprócz tragicznych będzie u nas pełnić obowiązki śpiewaczki.... czy słyszałeś panie Astachof jak ona śpiewa?

— Nie, odpowiedział Astachof uśmiechając się, nie wiedziałem....

— Co tobie dzisiaj Nadziu, zawołała z wyrazem nieukontentowania Marja.

Nadzieja Aleksiejewna zerwała się ku niéj.

— Błagam cię, Maniu, zaśpiewaj nam cokolwiek, nie odmawiaj.... nie dam ci pokoju, póki nam nie zaśpiewasz moja najdroższa! Sama bym zaśpiewała dla przyjemności gościa, ale wiesz jaki mam głos nieznośny. Za to zobaczysz jak ci będę dobrze akompanjowała.

Marja milczała.

— Z tobą nie ma rady, rzekła nakoniec, ty jak dziecko rozpieszczone przywykłaś żeby spełniano wszystkie twoje zachcianki. Niech i tak będzie, zaśpiewam.

— Brawo! zawołała Nadzieja Aleksiejewna i uderzyła w dłonie. Panowie, pójdźmy do bawialnego pokoju. A co się tyczy moich zachcianek, dodała śmiejąc się to ci później przypomnę. Czy godzi się przy nieznajomych wykrywać cudze słabości? Jegorze Kapitoniczu, czy Matrena Matfiejewna tak samo zawstydza pana przy obcych?

— Matrena Matfiejewna, wybąknął Jegor Kapitonicz, bardzo zacna osoba tylko kiedy idzie o manjery...

— Pójdźmy, pójdźmy, przerwała Nadzieja Aleksiejewna i weszła do bawialnego pokoju.

Wszyscy udali się za nią, zrzuciła kapelusz i siadła do fortepianu. Marja stanęła przy ścianie w pewnéj odległości od Nadziei Aleksiejewny.

— Maniu, rzekła po chwilowym namyśle, zaśpiewaj nam „Chłopiec sieje żyto"...

Marja Pawłówna zaśpiewała. Głos jéj był czysty i silny; śpiewała dobrze, prosto, bez wszelkiego przymusu. Wszyscy słuchali z zajęciem a Włodzimierz Siergieicz nie mógł ukryć swego zdziwienia. Kiedy Marja skończyła zbliżył się do niéj oświadczając, że nigdy nie spodziewał się...

— Poczekaj pan, to jeszcze nie wszystko, przerwała Nadzieja Aleksiejewna: Maniu, ulżyj swéj małoruskiéj duszy i zaśpiewaj nam „Homin — homin po dąbrowie..."

— Czyliż pani małorossjanka spytał Włodzimierz Siergieicz.

— Jestem rodem z Małorusi odpowiedziała i zaczęła śpiewać: Homin—homin....

Z początku wymawiała słowa pieśni obojętnie, lecz wkrótce tęskno—namiętna, ojczysta nuta wzruszyła ją, policzki jéj zarumieniły się, wzrok zabłysnął, głos zaczął dźwięczeć namiętnie.

— Mój Boże! jakeś to dobrze zaśpiewała, zawołała po skończeniu Nadzieja Aleksiejewna pochylając się nad klawiszami. Jaka szkoda że tu brata mego nie było!

Marja natychmiast spuściła oczy i uśmiechnęła się swym zwykłym, gorzkim uśmiechem.

— Wartoby coś jeszcze zaśpiewać, odezwał się Ipatof.

— Tak jest prosimy, jeżeli łaska, dodał Astachof.

— Wybaczcie państwo, że dzisiaj już więcéj śpiewać nie będę, powiedziała Marja i wyszła z pokoju.

Nadzieja Aleksiejewna przeprowadziła ją wzrokiem; naprzód zamyśliła się potem uśmiechnęła, zaczęła jednym palcem wygrywać „chłopiec sieje żyto" później nagle zagrała skoczną polkę i niedokończywszy jéj, uderzyła grzmiący akord, prędko zamknęła fortepian i wstała.

— Szkoda że nie ma z kim zatańczyć, zawołała, a zdałoby się!

Astachof zbliżył się do niéj.

— Jakiż cudowny głos Marji Pawłowny, odezwał się i z jakim uczuciem śpiewa!

— A pan lubisz muzykę?

— Tak jest.... bardzo.

— Taki uczony człowiek i lubi muzykę!

— Z czego pani wnosisz że ja uczony?

— Ach! prawda, zawsze zapominam, że pan jesteś człowiekiem praktycznym. Ale gdzież to Mania poszła.

Pozwólcie pójdę po nią.

I Nadzieja Aleksiejewna wybiegła z pokoju.

— Wietrznica, jak pan widzisz odezwał się Ipatof do Astachowa, lecz serce jak najlepsze. A jakie wychowanie odebrała, nie wyobrazisz pan sobie! wszystkiemi językami mówi. No nic dziwnego, ludzie to zamożni.

— Tak jest, odpowiedział z roztargnieniem Siergieicz, — bardzo przyjemna osoba. Ale powiedz mi pan, czy małżonka jego była także rodem z Małorossji?

— Tak jest, równie jak jéj siostra Marja Pawłówna Nieboszczka, jeżeli mam prawdę powiedzieć, nawet wymowę miała nie zupełnie czystą; chociaż władała językiem rossyjskim w zupełności, zawsze jednak znać było pewne różnice w wymawianiu. Marja Pawłówna co innego,ta jeszcze w dziecinnych latach wyjechała z rodzinnych stron. Jednak znać w niéj zawsze krew małoruską, wszak prawda?

— Cudnie śpiewa Marja Pawłówna, odrzekł Astachof.

— Istotnie nieźle. Ale co to że nie podają herbaty? A gdzie panie poszły?

Panie powróciły nie prędko; tymczasem nakryto do stołu i przyniesiono samowar, i dopiero kiedy Ipatof posłał po nie, powróciły obie razem. Marja siadła przy stole rozlewać herbatę, a Nadzieja Aleksiejewna zbliżyła się do drzwi wiodących na taras i przypatrywała się ogrodowi. Po dniu pogodnym, letnim nastąpił jasny i cichy wieczór, zorza zarumieniła niebiosa, obszerny staw, spokojny jak zwierciadło i w połowie oblany jéj szkarłatem, wspaniale odbijał w srebrzystéj mgle swego głębokiego łona całą powietrzną przestrzeń nieba i leżące jakby sczerniałe drzewa i dworzec. Wszystko zamilkło w około: najmniejszego nigdzie nie było szelestu.

— Patrz pan, jak tu pięknie, rzekła Nadzieja Aleksiejewna do zbliżającego się ku niéj Astachowa, tam daleko, po nad stawem zapłonęła gwiazda tuż obok światełka w domu; jak cudnie! Oto i motyl leci, dodała głośno.

Z po za krzaku bzu pokazała się maleńka kolaska ciągniona przez dwóch ludzi. W niéj siedziała staruszka obtulona, zgarbiona, z głową opadłą na piersi, garnirowanie czepka zupełnie zakryło jéj wyschłą i pomarszczoną twarz. Kolaska zatrzymała się przed tarasem, Ipatof wyszedł a za nim dziewczęta, które jak myszy przez cały wieczór ciągle biegały tylko z pokoju do pokoju.

— Dobry wieczór, matko, rzekł Ipatof podniesionym głosem, zbliżywszy się do staruszki, jak twoje zdrowie?

— Przyjechałam patrzeć na was, odezwała się staruszka słabo i z wysileniem. Ale jakiż piękny wieczór. W dzień spałam, a teraz nogi zabolały. Oh te nogi moje! I nie chcą służyć i bolą.

— Pozwól matko, przedstawić sobie naszego sąsiada pana Włodzimierza Siergieicza Astachowa.

— Rada poznać, odrzekła staruszka zwróciwszy na niego swe duże i czarne oczy, lecz zupełnie już bez żadnego życia. Proszę pokochać mego synka. On człowiek dobry, wychowałam go jak mogła, rozumie się po kobiecemu. Jest jeszcze lekkomyślny lecz Bóg da, to ustatkuje się, a czas by, — czas już zdać mu interesa. A to ty Nadziu, dodała staruszka, spoglądając na Nadzieję Aleksiejewnę.

— Ja babuniu.

— A Mania, czy herbatę nalewa?

— Tak jest, nalewa.

— Któż tam jest jeszcze?

— Jan Ilicz i Jegor Kapitonicz.

— Matreny Matfiejewny mąż?

— Ten sam, babuniu.

— No, to dobrze. Ale dla czegoż to, Michasiu, w żaden sposób nie mogę się doczekać starosty? Każ mu jutro przyjść do mnie jak najraniéj, mam

wiele z nim do mówienia. Beze mnie, jak widzę, nie dalibyście sobie rady. No dosyć już, jużem zmęczona, odwieźcie mię do domu. Żegnam cię panie, imienia i nazwiska nie pamiętam, dodała zwróciwszy się do Astachowa, wybacz staruszce. A wy wnuczki, nie odprowadzajcie mnie, nie trzeba. Wybyście ciągle tylko biegały. Siedzieć, siedzieć, uczyć się lekcji, rozumiecie. Mania was rozpieściła. No ruszajcie.

Z trudnością podtrzymywana głowa opadła znowu na piersi. Kolaska poruszyła się i cicho potoczyła.

— Wiele może mieć lat pańska matka? spytał Włodzimierz Siergieicz.

— Dopiero siedmdziesiąty szósty rok, lecz już od dwudziestu sześciu lat straciła władzę w nogach; nastąpiło to wkrótce po śmierci ojca nieboszczyka. A była kiedyś bardzo piękną.

Wszyscy zamilkli. Nagle Nadzieja Aleksiejewna zawołała.

— Dla mnie już czas jechać do domu, panie Ipatof każ osiodłać mojego konia.

— I mnie czas już wracać odezwał się Astachof.

— Przenocuj tutaj, panie Astachof, rzekł Ipatof. Nadzieja Aleksiejewna ma tylko dwie wiorsty do domu a do was całych dwanaście, a nawet i pani mogłabyś zaczekać póki księżyc nie wejdzie; będzie widniéj jechać!

— Niech i tak będzie, powiedziała Nadzieja Aleksiejewna, już tak dawno nie jeździłam przy świetle księżyca.

— A pan przenocujesz? zapytał Ipatof.

— Sam nie wiem... zresztą jeżeli nie zrobię subiekcji....

— Ale najmniejszéj, każę zaraz dla pana przygotować oddzielny pokój.

—Ależ bo to bardzo przyjemnie jechać konno przy świetle księżyca, zwłaszcza przez las między krzakami leszczyny, przemówiła Nadzieja Aleksiejewna, skoro podali świece i gdy Ipatof z Jegorem Kapitoniczem zasiedli we dwóch do preferansa, a do nich przysiadł się w milczeniu zgodna dusza.

— I strasznо i przyjemnie, mówiła daléj Nadzieja, a jaka dziwna gra światła i cieni. Ciągle się zdaje, że ktoś zakrada się to przed nami, to z tyłu....

Astachof uśmiechnął się pobłażliwie.

— Albo czy zdarzyło się panu kiedy siedzieć pod lasem w ciepłą, ciemną i cichą noc; mnie zawsze zdaje się wtenczas jakby tuż za mną, nad uszami, dwie osoby spór z sobą wiodły zaledwie dosłyszanym szeptem.

— To krew tak szumi w uszach, odezwał się Ipatof.

— Pani bardzo poetycznie opisuje wtrącił Astachof.

Nadzieja Aleksiejewna spojrzała na niego.

— Czy tak pan sądzisz?... w takim razie opisy moje nie podobałyby się Mani.

— Dla czego? czyż Marja Pawłówna nie lubi poezji?

— Nie, utrzymuje że to wszystko zmyślenie, nieprawda, i to się jéj właśnie niepodoba.

— Dziwny zarzut! zawołał Astachof, zmyślenie! jakżeż może być inaczéj? na cóż są autorowie.

— Masz tobie, zresztą i pan nie musisz lubić poezji.

— Owszem lubię dobre wiersze, kiedy są rzeczywiście dobre i harmonijne, i. . jakby to powiedzieć, kiedy wyrażają ideje, myśli....

Marja podniosła się; Nadzieja Aleksiejewna szybko za nią obejrzała się.

— Dokąd to Maniu!

— Idę dzieci spać położyć bo już dziewiąta.

— Dzisiaj Mania w złem usposobieniu, zrobiła uwagę Nadzieja, wiem nawet powód, dodała półgłosem.

Lecz to wkrótce przeminie.

— Czy mogę zapytać, zaczął znowu Astachof gdzie pani zamierza zimę przepędzić?

— Może być że tutaj, a może w Petersburgu. Zdaje mi się że w Petersburgu znudziłabym się.

— Co pani mówi, czy podobna!?

I Siergieicz zaczął opisywać wszystkie wygody, przyjemności i rozkosze życia stołecznego. Nadzieja słuchała go z uwagą nie spuszczając z oka, jakby badała jego fizjonomję, niekiedy uśmiechając się w duchu.

— Widzę że pan jesteś bardzo wymowny, rzekła nakoniec, wypadnie przepędzić zimę w Petersburgu.

— Nie będziesz pani żałować tego, odpowiedział Astachof.

— Ja niczego nigdy nie żałuję. Zrobi się jaka niedorzeczność, to najlepiéj o niéj jak najprędzéj zapomnieć i rzecz skończona.

— Chciéj pani mi powiedzieć, odezwał się Astachof po chwili po francuzku, czy dawno znasz się z Marją Pawłówną?

— A mnie, chciéj pan powiedzieć, odpowiedziała Nadzieja uśmiechając się, dla czego to zapytanie właśnie uczyniłeś po francuzku?

— Tak... bez żadnéj szczególnéj przyczyny...

Nadzieja znowu uśmiechnęła się.

— Nie, nie bardzo dawno znam ją. Przyznać jednak trzeba że zajmująca panienka.

— Tak jest, oryginalna, odpowiedział zimno.

— Czy to ma być pochwałą w ustach waszych, w ustach ludzi praktycznych? nie sądzę. Może być że i ja wydaję się oryginalną? Jednak, dodała podnosząc się i wyjrzawszy w otwarte okno: księżyc już zeszedł, bo światło jego nad topolami. Czas jechać... każę osiodłać gniadosza.

— Już osiodłany, zawołał kozaczek Nadziei wychyliwszy się z cieniu drzew na taras.

— A to dobrze! Maniu przyjdź pożegnać się ze mną. Marja wyszła z bocznego pokoju. Mężczyzni wstali od kart.

— Więc już pani jedziesz? zapytał Ipatof.

— Już czas, jedź, to mówiąc zbliżyła się do drzwi wychodzących na ogród.

— Jaka noc! jaki zapach! zawołała: wszystkie kwiaty teraz przebudziły się, i gdy one żyć zaczynają my się dopiero spać zabieramy... Ale, Maniu, dodała: powiedziałam panu Astachof że nie lubisz poezji. A teraz bywajcie zdrowi... oto i konia mi prowadzą....

Nadzieja zręcznie zbiegła po schodkach tarasu, lekko podniosła się na siodło, zawołała: do widzenia i uderzywszy szpicrutą konia po szyi, puściła się ku grobli... kozaczek podążył za nią kłusem. Wszyscy spoglądali za niemi.

— Do widzenia jutro! rozległ się jeszcze raz głos jéj z po za top oli.

Tentent kopyt długo jeszcze słyszeć można było w ciszy nocy letniéj. Nakoniec Ipatof zaprojektował aby wrócić do pokoju.

— Przyjemnie to na wolnem powietrzu, rzekł ale musimy skończyć naszą partję.

Wszyscy powrócili, Astachof zaczął wypytywać się Marji dla czego poezji nie lubi?

— Wiersze niepodobają mi się odrzekła z pewną niechęcią.

— Może być że pani mało ich czytałaś.

— Sama wcale ich nie czytałam, ale czytano mi wiele a jam słuchała.

— Czyż podobna, aby jedne z nich się nie podobały?

— Ani jedne.

— Nawet wiersze Puszkina?

— Nawet Puszkina.

— Ale dlaczego?

Marja nie odpowiedziała, a Ipatof zwróciwszy się ku nim na krześle, rzekł z dobrodusznym śmiechem, że Mania nie tylko wierszy, ale i cukru nie lubi i w ogólności niczego słodkiego cierpieć nie może.

— Przecież są wiersze i niesłodkie, odrzekł Astachof.

— Naprzykład które? zapytała Marja.

Astachof poskrobał się z frasunkiem po uchu....... sam nie wiele umiał na pamięć wierszy, zwłaszcza niesłodkich.

— Oto naprzykład, zawołał nakoniec, czy pani znasz *Anczar* Puszkina. No już ten wiersz w żaden sposób nie można nazwać słodkim.

— Proszę powiedzieć go, rzekła Marja i spuściła oczy.

Astachof naprzód popatrzył w sufit, pochmurzył się, pomruczał coś sam do siebie i nakoniec zadeklamował.

d. c. n.

DROBNE SZCZEGÓŁY
Z ŻYCIA MUZYKÓW.

Baptiste, dyrektor koncertów na dworze króla Stanisława Leszczyńskiego w Lunnevillu, był wprzódy pierwszym skrzypkiem w Paryżu. Odznaczał się on mnóstwem dziwactw i miał szczególniejsze zachcenia, którym zwolennicy muzyki dogadzali na wyścigi.

Któryś z panów francuzkich urządzał w swoim domu koncert i życzył sobie, aby sławny Baptiste wziął w nim udział. Zaprosił go bardzo grzecznie, ale Baptiste nie przyszedł. Gospodarz nie mogąc się go doczekać, pośpieszył czemprędzéj do jego domu i zastał muzyka obracającego rożen z pieczenią.

Na usilne prozby przybyłego skrzypek obiecał pojechać na koncert, ale tylko pod tym warunkiem, że margrabia będzie obracał rożen aż do jego przybycia.

Nie było rady, ale gdy Baptiste odjechał, margrabia zostawił rożen z pieczenią i wsiadłszy do dorożki, popędził do siebie, aby koniecznie usłyszeć wielkiego muzyka. Dopiero gdy tenże położył skrzypce, wrócił czemprędzéj do mieszkania Baptista i zasiadł do obracania rożna.

W takiéj postawie zastał go skrzypek za przybyciem do domu. Margrabia podziękował mu najuprzejmiéj za trud podjęty, obdarzył go hojnie i cieszył się niewymownie że pieczeń smakowała mistrzowi.

W Madrycie spoczywa sławny śpiewak *Juan Pinto*, na którego grobowcu znajduje się następujący napis: „Tutaj spoczywa Juan Pinto, Orfeusz hiszpański. Gdy przyszedł do nieba, głos jego pomieszał się z głosami aniołów. Ale Bóg usłyszał jego śpiew i tak się nim zachwycił, że kazał aniołom umilknąć, a Juana Pinto uczynił swoim nadwornym śpiewakiem."

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*k*)

Дозволено Цензурою.

Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIEŃ MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

XVII.

Kto tylko zna miasto W. tego koniecznie uderzyć musiał osobny charakter licznych zaułków, jakie wypływając z łona wązkich ulic przerzynają miasto w różnych kierunkach, niby krata z wielkich szpar utworzonych pomiędzy wysokiemi i grubemi murami.

Stąpając po nierównym bruku tych wązkich i mrocznych przejść, mimowoli czujesz się ogarniętym zadumą. Wieje ona od wysokich ścian trzy i czteropiętrowych kamienic, popękanych i przygarbionych od starości i od rzędów okien, które zdają się patrzeć na cię zmęczonemi lub zapłakanemi oczami tych wszystkich ubogich i pracujących ludzi, którzy z niemi żyli i żyją. Nikt bogaty i myślący o bawieniu się nie mieszka tu. Te stare i grube mury jak mrowiska napełnione są ludźmi, z których każdy pracuje czem może: rękami lub głową, byle wyżyć i utrzymać rodzinę. Mieszczą się tu urzędnicy niższego stopnia, kupcy i rzemieślnicy na małą skalę, starcy z małemi funduszami i szukający cichego schronienia, studenci niezamożni, a potrzebujący ciszy dla odbywania swych studjów, literaci których talent zaledwie może nakarmić i przyodziać, nauczyciele i nauczycielki, udzielające prywatnych lekcji na mieście, wszyscy słowem ludzie, którzy ustawiczną pracą broniąc od nędzy siebie i swoich, nie mają przecie środków do dostarczenia sobie szerszéj przestrzeni i światlejszych mieszkań, albo którzy umyślnie dla potrzeb swego skupionego nad pracą umysłu lub zmęczonego życiem serca, unikają gwaru i tłumu głównych arterji miasta. Nie są to przecie wcale jaskinie, ani przybytki samych łez i występków. Nie ma tu bogactwa i świetności, ale nie ma też i ostatecznéj nędzy, która razi wzrok i umysł wykształconego człowieka. Za temi mnogiemi oknami tkwiącemi w oprawie odwiecznych murów, zielenią się gdzieniegdzie i kwitną wazonowe rośliny, błyszczą śnieżnéj białości firanki, tu i owdzie za szybą przesuwa się zamyślona i szlachetna twarz mężczyzny, lub widnieje spokojna i piękna głowa kobieca. Ileż przez mnogie lata w tych drobnych mieszkankach przyozdobionych w skromne wazony i firanki, wysnuło się prawdziwych poematów walk z losem, poświęceń i miłości, a tam na poddaszach, w tych facjatkach wysokich, których drobne okna migocą przez całe noce blademi światełkami i gasną aż wtedy gdy dzień się zaczyna, ileż młodych żądz, wiedzą i miłością dla ludzkości rozpalonych głów, schylało się nad księgami w cichych nocnych godzinach, ucząc się tego i dumając nad tem, czego nie uczą się i o czem nigdy prawie nie myślą ci, co mieszkają w szerokich i świątłych miejscach, a kochają tylko siebie i swoje swietności. Ileż z tych schronień uleciało w świat ze szlachetnych piersi gorących westchnień, ile tam zrodziło się wielkich postanowień mających utworzyć wielkie charaktery, ile zamysłów na wskroś przenikających świętością ciszy i medytacji wylało się tam na papier myśli, przyodzianych formą poezji lub nauki, które wyszedłszy ztamtąd cały kraj miały okrążyć, a mieszkańcowi poddasza co je z pod serca wyjął i podarował światu, przynieść w darze kawałek twardego chleba, jako obronę od głodowéj śmierci i ciche szczęście doświadczone, z dłonią przyłożoną do spokojnego sumienia.

Każde z miast większych posiada takie miejsca, będące niby warsztatem, na którym ubóstwo i praca wyrabiają materyały jakiemi żywi się, przyodziewa i naucza druga połowa społeczności, połowa błyszcząca, próżnująca, bawiąca się, tańcząca a w głębi cierpiąca także, cierpiąca nieskończenie więcéj niż tamta cicha i pracowita, w ciemne suknie ubrana, a na mrocznych zaułkach mieszkająca jéj siostra.

Są to dwa światy. Zkąd pochodzi ta nieokreślona tęsknota za czemś innem, lepszem, wyższem, jakiej doświadczają ludzie ze świata połysków i gwarów? Zkąd płyną te cierpienia, jakie do głębi świat ten uurtuje, psując dusze i podkopując istnienia?

Ztąd że świat ten nie zna i nie rozumie tego drugiego świata, na szczeblach hjerarchji społecznéj niżéj, ale na drabinie ku wiekuistéj prawdzie wiodącéj, wyżéj stojącego nadeń; że gardzi lub nie zdoła sięgnąć ku niemu wzrokiem i ściągnąć ku sobie i wsiąknąć w siebie to, co stanowi tamtego wartość i zasługę.

Zkąd pochodzą te trudności krwawe z jakiemi mierzyć się przychodzi każdemu z mieszkańców świata ubóstwa i pracy? Co stanowi opokę, która zbyt często tamuje kroki ich stóp zmęczonych? Co w sercu ich i umysły wlewa niepokój i boleść, a często gorycz i bunt zuchwały?

Zapomnienie! Niezrozumienie! Rozdział głęboki leżący pomiędzy dwoma światami.

Na jedno z takich wązkich przejść miasta W. przy schyłku dnia zimowego, wjechały nasze podróżne sanie, i zatrzymały się przed bramą jednéj z wysokich starych kamienic. U stóp wschodów wązkich lecz czystych spotkała nas Binia, i po czułem powitaniu otworzyła przed nami drzwi przygotowanego już i urządzonego mieszkania. Były to cztery niewielkie ale czysto i ładnie nawet, lubo ze skromną prostotą przybrane pokoiki, z których jeden przedstawiał bawialny salonik, drogi przeznaczony był na sypialnię mojéj matki, trzeci miał służyć mnie i Emilce, czwarty poczciwéj piastunce mojéj. W każdym z nich paliło się po jednéj nie wykwintnéj lecz światłéj lampie, a w bawialnym pokoju stał stół nakryty z szumiącym samowarem i przekąskami do herbaty. Binia zawiadomiona przeze mnie o dniu naszego przybycia, starała się urządzić wszystko tak, aby nowe siedlisko nasze ukazało się nam od razu w jak najprzyjemniejszéj postaci.

W istocie, gdy zdjąwszy futro i ogrzawszy nieco zziębnięte ręce przy ogniu wesoło płonącym na kominku, wzięłam się z pomocą Emilki do urządzania herbaty, a opowiadając przytem piastunce mojéj różne przygody zdarzone w podróży, rozejrzałam się wkoło siebie, mile mię uderzyła czystość ścian ciemnem a gustownem pokrytych obiciem, śnieżna białość firanek, na czerwono pomalowana i bez pomocy wosku lśniąca od czystości posadzka, sprzęty niekosztowne lecz zgrabne i przyjemnie uderzające oko błękitną barwą wełnianéj materji, jaką były pokryte, cisza nakoniec jaka panowała w mieszkaniu i białe światło lamp, które wesoło łączyło się z czerwonawym blaskiem trzaskającego na kominku płomienia. Nawet twarz prostéj sługi jaką Biniai przyjęła dla nas, wydała mi się poczciwą i otwartą.

Oddawszy imbryk stojącéj obok mnie i uśmiechającéj się także z zadowolenia Emilce, rzuciłam się Bini na szyję i czułemi wyrazami dziękowałam jéj, że tak mile, wygodnie i porządnie urządziła wszystko dla nas.

— Będzie nam tu bardzo dobrze, mówiłam wracając do mojéj czynności, daleko lepiéj jak w wielkim, bogatym domu o którym wiedziałyśmy, że go lada chwilę opuścim i którego bogactwo nie należało do nas. Tu przynajmniéj wszystko jest nasze, własne, nie potrzebujemy nikomu zdawać sprawy z niczego i otwierać naszych drzwi nieproszonym i niemiłym gościom z rachunkami i pozwami. Niechno jeszcze rozgospodarujemy się tu z Emilką i rozpoczniemy nasze chlebodajne zatrudnienia! Ach, zdaje mi się że wpłynęłam do portu!

Istotnie czułam że wielki ciężar spadł mi z piersi, i z prawdziwą ulgą w sercu zamieniałam wesołe słowa i uśmiechy z piastunką moją ucieszoną moją radością i Emilką, która zaczynała tak jednoczyć się ze mną, że każde moje uczucie znajdowało w niéj wierną odpowiedź.

W tem posłyszałam za sobą ciężkie westchnienie. Obejrzałam się i zobaczyłam moją matkę siedzącą na kanapie w przygnębionéj postawie, z rękami bezwładnie opuszczonemi na kolana i z wyrazem nieledwie przerażenia w oczach, rozglądającą się w koło siebie. Od chwili przestąpienia progu nowego naszego mieszkania nie wyrzekła ani słowa, dotąd jednak nie zwracałam na to uwagi, bo sądziłam że zmęczona długą podróżą spoczywa w milczeniu. Westchnienie jéj i przygnębiony, przerażony niemal wyraz jéj twarzy, stłumiły chwilkę moją radość. Nie pokazałam jednak tego po sobie i łagodnie wymogłam na niéj, aby zbliżyła się do naszego stołu i rozgrzała się ciepłym napojem. Uczyniła o co prosiłam, ale ani razu nie odezwała się do nas. Widok jéj bladéj i smutnéj twarzy mrozil naszą wesołość i zatrzymywał na naszych ustach słowa i uśmiechy. Binia z uwagą przypatrywała się jéj przez okulary, a po skończonéj herbacie rzekła, iż czas jest aby matka moja udała się na spoczynek. Uważałam iż miała nadzieję, że pokój mojéj matki starannie i według moich instrukcji ze stosunkowym urządzony zbytkiem, lepsze na niéj wywrze wrażenie, jak całość mieszkania, poprawi jéj humor i wleje w nią to uspokojenie jakiego doświadczyć może osoba smutna kiedy się ujrzy przedmiotem wyłącznéj czułości i starań. Wszakże oczekiwanie to omylonem zostało. Pokoik mojéj matki wygodny był ale mały; ładnie i przytulnie ale niekosztownie i niebłyszcząco urządzony. Ogromna zachodziła różnica pomiędzy nim a wytwornym apartamentem, składającym się z obszernéj sypialni i kilku gabinetów, w jakim matka moja zwykła była dotąd przepędzać samotne swe godziny. To też

stanęła na progu, tem samem przygnębionem spojrzeniem orzuciła kobierzec zaściełający posadzkę, a jakiemu podobne miewała dotąd zaledwie w przedpokojach, kotarę u łóżka zgrabnie zawieszoną, ale z taniéj wełnianéj materji, firanki nie jedwabne także, sprzęty nie palisandrowe i nierzeźbione lubo zgrabne i miękkie, a gniazdko to które ja z taką miłością uściełałam dla niéj w myśli, a do którego Binią przyłożyła tyle czułego i pojętnego starania, musiało wydać się jéj wielce nędznem i smutnem, bo skinąwszy nam obojętnie głową na dobranoc, z pognębieniem zbliżyła się do źwierciadła i zaczęła rozpuszczać swe olbrzymie warkocze. Sądziłam iż najlepiéj będzie jeśli ją tym razem pozostawimy saméj sobie, wierzyłam jeszcze w to: że zostawszy samą odkryje przecie w urządzeniu swego pokoju ślady mojéj serdecznéj o nią troskliwości i że to ją pocieszy i uspokoi. Zresztą na klęczniku leżały przywiezione przez Binię książki jéj do nabożeństwa, wiedziałam że mianowicie od pory w któréj się zaczęły jéj nieszczęścia modliła się często i długo, miałam więc nadzieję, że rozmowa z Bogiem zbawienniéj na nią podziała niż rozmowa z nami, lubo z innéj strony uważałam już była nieraz, iż modlitwa rzadko ją pocieszała, może dla tego, że umysł jéj niesklonnym był do dewocji, a nie przywykłym do skupienia się i rzetelnego oderwania się od rzeczy i uczuć ziemskich. W czasie więc gdy Binia krzątała się około rozłożenia naszych rzeczy i układania ich w szafy i komody, przeszłyśmy z Emilką do pokoju przeznaczonego dla nas i z cicha rozmawiając wydobywałyśmy z kufrów podróżnych nasze książki, nuty, roboty i układałyśmy to wszystko na politurowanych półkach zapełniających trzy ściany sypialni. Pod czwartą stały dwa nasze czysto zasłane łóżka ze zgrabnemi stoliczkami obok, a pośrodku było duże wychodzące na dziedziniec okno przyozdobione białą muślinową firanką, zieloną grubą sztorą i dwoma wazonikami rezedy, która już kwitła i przyjemną woń rozlewała dokoła. Wesołość moja, która była pierzchnęła w obec przykrego stanu w jakim zostawała moja matka, wróciła mi znowu na widok białych przytulnych ścian, pod któremi w coraz liczniejsze rzędy ustawiały się moje ulubione książki i koszyki z robotami. Na widok szczególniéj rozweselonéj i promiennéj twarzy Emilki, która wspinając się na krzesła, aby dosięgnąć wyższych półek, otrzepując z pyłu moje nuty, nachylając się do kufrów i całując mię co chwilę, powierzała mi swą radość, jakiéj doświadczała na widok otwierającego się przed nią nowego życia i tysiączne plany jakie układała w swéj głowie. Skończyłyśmy porządkowanie naszego pokoju i właśnie rozmyślałyśmy nad tem, gdzie i jak ustawimy fortepian, który miał mi być przysłanym przez mego ojca, gdy nagle usłyszałam odgłos głośnych łkań wychodzących z przedzielonego od nas tylko drzwiami pokoju mojéj matki. Przestraszona pobiegłam do niéj i znalazłam ją leżącą na sofie w stanie nieopisanego rozdrażnienia i rożżalenia. Kiedy zbliżyłam się i chciałam ją pocieszać, usunęła mię od siebie z niecierpliwością i z płaczem zaczęła mi wyrzucać, że skłoniłam ją do odrzucenia ofiary babki Hortensji, w któréj domu miałaby przynajmniéj wszystko do czego przywykła, bez czego żyć nie może, u któréj zostając umarłaby może wkrótce z upokorzenia i tęsknoty za mną, ale byłoby i to lepiéj, bo życie jéj jest tylko ciężarem dla niéj i dla innych i wolałaby co najprędzéj je zakończyć, jak zadawać co chwilę gwałt przyzwyczajeniom, jakie stały się jéj naturą i nie mieć ani jednego momentu, w którymby ta nędza w jaką popadła żywo jéj przed oczyma nie stała. Powtórzyła znowu, że najlepiéj zrobię jeśli powrócę do mego ojca, a ją zostawię jéj losowi, bo nie chce ani patrzyć na moje ubóstwo w które ona mię wtrąciła, ani okazywać przede mną swojéj słabości, któréj wstydzi się sama, ale któréj pozbyć się nie może.

— Czyniłam wszystko co mogłam, mówiła, aby pokryć moją boleść i moją śmiertelną o przyszłość trwogę, wysilałam się na spokojność i zdaje się, iż nikt nie może powiedzieć abym raziła czyjeś uszy swemi skargami albo czyjeś oczy widokiem mego płaczu. Ale dłużéj przezwyciężyć się już nie mogę. Duszno mi w tych ciasnych izbach. Przewiduję okropność życia, jakie tu wieść będę musiała, i nie życzę sobie wcale, abyś ty je dzieliła ze mną, ani żebyś była świadkiem moich udręczeń, które wydają ci się zapewne rzeczą godną wzgardy. Nie zniosę tego aby córka moja miała mną pogardzać. Chcę być samą i płakać ile mi się podoba, i aby nikt nie podpatrywał mego smutku i nie podsłuchiwał mego płaczu.

Wszystko to wypowiadała zalewając się gorącemi łzami i targając sobie warkocze, ale przez cały czas choć ciągle zwracała do mnie mowę, ani razu nie podniosła na mnie oczu. Probowałam kilka razy odezwać się, ale nie pozwalała mi mówić tylko coraz rzewniéj płakała powtarzając ciągle, abym ją opuściła co najprędzéj i odjechała do ojca. Nakoniec nieuspokojona wcale ale zmęczona, przestała mówić i rzuciwszy się znowu na sofkę oczy rękami zakryła. Wtedy powściągając boleść jaką czułam powiedziałam jéj, że daremnie żąda ode mnie, abym się oddaliła, bo gdyby nawet dziesięć razy wygnała mię z pod swojego dachu, dziesięć razy bym wróciła i błagała ją, aby nie odrzucała mojéj miłości i moich starań. Mówiłam to zaś z czułością i łagodnie ale zarazem ze spokojem i stanowczością, bo uważałam już nieraz, że wszelkie roztkliwianie się wzmogło tylko żal i rozdrażnienie méj matki. Na to oświadczenie moje odwróciła się do mnie gwałtownie i zawołała:

— Wiesz dobrze że nie mogę wygnać nikogo z pod mego dachu, bo nie posiadam sama żadnego schronienia. Dach pod którym zostajemy jest twój, boś go najęła za cenę twoich sprzedanych klejnotów, wiem o tem dobrze, choć się z tem taiłaś, dosłyszałam jak o tem rozmawiałaś z Balbiną. Więc moja córka zmuszoną jest aż do fantowania się, a to wszystko z mojéj winy!

I znowu zaczęła płakać i drżeć całem ciałem.

Nie wiedziałam już doprawdy co czynić, zapominając o mojem postanowieniu nieroztkliwiania się, upadłam przed nią na kolana, i starając się pochwycić jéj ręce błagałam ją najczulszemi wyrazami, aby się uspokoiła i z chłodnem zastanowieniem się, rozważyła nasze położenie, które wcale nie było tak rozpaczne jak się jéj wydawało. Nie odpowiadała, nie dawała mi swych rąk któremi sobie ciągle twarz zakrywała i usuwała się ode mnie, abym nie mogła otoczyć ją ramionami memi. Znając ją zawsze tak łagodną i dumną, nie przypuszczałam nigy aby dojść mogła do tak zupełnego zatracenia saméj siebie, i drżałam cała tak z żalu jak z obawy, aby ten gwałtowny wybuch, długo znać powstrzymywanych uczuć nie nadwerężył jéj zdrowia. Nagle poczułam się ujęta za ramię. Była to Binia która objęła mię wpół i podniosła z klęczek, a potem wzięła za rękę i przemocą prawie wyprowadziła z pokoju. Twarz jéj zwykle tak spokojna i łagodna miała wyraz głębokiéj rozwagi a zarazem lekkiego gniewu.

— Ochłoń z żalu i spocznij, rzekła do mnie, gdy znalazłam się już w moim pokoju, połóż się i zaśnij, bo jesteś i tak zmęczona podróżą i możesz zachorować. Ja sama uspokoję twoją matkę. Spuść się na mnie. Jak ciebie tak i ją wyhodowałam prawie na moich rękach.

Rzekłszy to wzruszonym głosem, nim opamiętać się i odpowiedzieć mogłam, Binia cofnęła się do pokoju mojéj matki i drzwi zamknęła za sobą na klucz, dla tego zapewne, abym już wejść tam ani probowała.

Emilka która słyszała i widziała całą scenę, płakała cicho siedząc na kufrze, ale nie mogłam się nią teraz zajmować, bo bałam się bardzo o matkę. Przyklękłam więc przy progu i przyłożyłam ucho do drzwi, aby posłyszeć co się tam w jéj pokoju będzie działo. Słyszałam stłumiony głos Bini, która długo mówiła do mojéj matki coś, czego posłyszeć nie mogłam, potem odpowiedzi mojéj matki, zrazu żywe i przerywane łkaniem, nakoniec łagodniejsze i bardziéj spokojne.

Po kwadransie może wszystko ucichło i tylko posłyszałam ciche stąpania po kobiercu dwóch osób: domyśliłam się że Binia pomaga mojéj matce zdejmować ubranie i że ta udaje się na spoczynek. Spokojniejsza nieco powstałam od progu i poszłam uciszać zapłakaną Emilkę, która nie wiedziała jakich dobrać słów i pieszczot, aby mię pocieszyć. Po kilku minutach weszła Binia i upewniwszy mię, że matka moja uspokoiła się zupełnie i wkrótce uśnie, ucałowała nas obie na dobranoc i oddaliła się. Długo w noc rozmawiałyśmy z Emilką, rozmowa nasza jak ziemia około swéj osi obracała się wciąż około téj biednéj, złamanéj, osłabionéj istoty, która była moją matką. Niekiedy tylko niespokojnem okiem zaglądałyśmy w tę krainę przyszłości naszéj, nad którą, jak się nam zdawało, nigdy żadne inne nie miały zaświecić promienie prócz tych, które zdołamy wysnuć z nas samych, z ciepła własnych serc naszych, i ze świadectw własnego sumienia. Przypomniałyśmy sobie jak to kiedyś na balu w Rodowie, młodziutkie i świeże, w balowych sukniach i wieńcach na głowach, siedziałyśmy obie w parku mojéj babki, i na wzór ptaszą zbłąkanych tuląc się do siebie ze drżeniem, patrzyłyśmy w gwiazdy pytając ich i siebie: gdzie jest prawda?

— Emilko, rzekłam, teraz jesteśmy nie drodze do prawdy.

— Wacławo! odrzekła tuląc się do mnie tak jak wtedy ja tuliłam się do niéj, ale po téj drodze postępować trudno, nie prawdaż?

Tak jak mnie wtedy, tak ją teraz zdejmowała trwoga. Otworzyłam biórko i wyjęłam małą książeczkę w któréj spisałam wszystko co tylko spamiętać mogłam ze słów, jakie ojciec mój wymawiał kiedyś do mnie. Dałam ją Emilce i prosiłam, aby ile razy poczuje smutek lub trwogę, zaglądała do téj książeczki, a znajdzie w niéj wiele wskazówek pociechy i podniety do męztwa.

Usnęłam niełedwie zupełnie spokojna i zapewne w skutek wspomnień wywołanych w rozmowie z Emilką, przyśnił mi się park Rodowski, sklepienie niebios rzęsiście zasiane gwiazdami, i grota na wzgórzu, a u wejścia do niéj stojący hrabia Witold.

Obudziłam się wcale nie rozmarzona ale owszem orzeźwiona snem tym i uspokojona. Przesądne niełedwie wyobrażenie przywiązywałam do wspomnień moich o hr. Witoldzie. Sen o nim wydał mi się dobrą wróżbą... cała w końcu krótka moja z nim znajomość nie byłaż tylko snem, który mi się wyśnił w porannéj porze życia, i znikł pozostawiając po sobie tylko niepochwytny i nieokreślony ale promienisty szlak myśli.

Na dzień dobry powiała ku mnie z okna słodka woń rezedy i spłynął na moje usta pocałunek Emilki. Porwałam się z posłania i narzuciwszy ranne ubranie, ostrożnie uchyliłam drzwi do pokoju mojéj matki. Nie spała już i siedząc przed źwierciadłem

usiłowała splatać swoje długie włosy, co musiało przychodzić jéj z trudnością, bo dotąd nigdy się nie czesała sama. W zwierciadle zobaczyła mię wchodzącą, zarumieniła się trochę i spuściła oczy. Gdym się zbliżyła patrzyła na mnie ze zmieszaniem i niespokojnością, wyraźnie wstydziła się wczorajszéj sceny i obawiała się pierwszego mego słowa. Z uśmiechem ucałowałam jéj ręce i zagadałam do niéj wesoło. Potém odebrałam jéj z ręki warkocze, które darmnie splatać usiłowała, bo i niewprawna była i ręce jéj drżały nieco od znużenia, uczesałam ją tak jak wiedziałam, że najlepiéj lubi być uczesaną, i pomogłam jéj włożyć suknię. Czyniąc to wszystko opowiadałam jéj jakieś zajmujące zdarzenie zaszłe niedawno w mieście, a o którém wczoraj słyszałam od Bini. Patrzyła na mnie zrazu z lekkim zdziwieniem, bo może spodziewała się zobaczyć mię po wczorajszéj scenie smutną i zażaloną: objęła wreszcie moją szyję i w milczeniu kilka razy pocałowała w czoło. Podskoczyłam z radości i wprowadziłam ją do bawialnego pokoju. Przez dwa niewielkie ale czyste i świątłe okna, wnikało parę promieni zimowego słońca i wesoło igrało na białych firankach. Przy stole zastawionym przyrządami do herbaty stała Emilka zupełnie już ubrana, i z pogodną twarzą rozmawiała z Binią, która kończyła ostateczne opylanie błękitnych sprzętów. Gdy zobaczyła nas wchodzące postawiła imbryk z herbatą, którą zaczęła była urządzać, podbiegła i ucałowała rękę mojéj matki, Binia zaś zbliżyła się i poprawiając fałdy jéj sukni popatrzyła na nią z za okularów swoim poczciwym troskliwym wzrokiem. Na ustach matki mojéj wykwitł uśmiech, słaby wprawdzie ale piękny, w oku jéj zaświeciła łza nie taka jakich potoki wylewała wczoraj w przystępie rozpaczy i trwogi, ale rzewna, dobra, taka która nie pali ale ochładza. Cała prawie godzina zeszła około samowara na swobodnéj rozmowie, do któréj kilka razy ku wielkiéj mojéj pociesze wmięszała się i moja matka. Ale gdyśmy powstały od stołu, zbliżyła się do okna i zapuściwszy wzrok w zaułek na którym znajdywało się nasze mieszkanie, pobladła znowu i zacisnęła usta z goryczą. Tak, nie była to ta główna pełna ruchu ulica miasta, na którą wychodziły liczne adamaszkowemi frankami ozdobione okna dawniejszego naszego mieszkania. Wązkie przejście leżące teraz u stóp kamienicy w któréj mieszkałyśmy, czyste było i białym śniegiem zasłane, ale puste i milczące. Po śniegu ślizgały się tylko promienie słońca, zasypiające ziemię migotliwemi rojami iskier i brylantów, a naprzeciw za czystą szybą okna kamienicy stojącéj z drugiéj strony zaułka, widniała siwowłosa głowa jakiegoś starca, i z przeciwległéj bramy wybiegła młoda i zgrabna, w skromne futerko otulona panienka i żywym krokiem przemknęła zaułkiem. Binia która w téj chwili spojrzała przez drugie okno powiedziała nam, że siwowłosy starzec to stary dymissjonowany urzędnik jakiś, a młoda panienka, która tak spiesznie pomknęła ku miastu, to wnuczka jego dająca lekcje muzyki i śpiewu i utrzymująca tym siebie i dziadka. Powiodłam wzrokiem po oknach przeciwległych kamienic i pomyślałam, że za każdem z nich mieszka zapewne jakiś wędrowiec drogą podobną postępującey; w górze po nad oknem przeświecającem głową sędziwego starca, zobaczyłam za szybami rękę męzką w białym rękawie zamaszyście a szybko wywijającą szydłem. Nieco daléj na tym samym piętrze, leżała tuż za szybą spora książka, a przy niéj zabłyszczały parę guzy od studenckiego munduru.

Żywo włożyłam futro i kapelusz i wyszłam na miasto udając się do kantoru, w którym stręczono guwernantki aby zapisać się tam na kandydatkę do dawania lekcji muzyki, języków, historji, jeografji, nauk przyrodniczych i t. d.

Utrzymująca kantor pani, kazała mi wykonać w obec siebie parę kompozycji muzycznych na fortepianie, z pół godziny rozmawiała ze mną po francusku i angielsku, sprowadziła zręcznie rozmowę na dziedzinę historji i jeografji, a w ten sposób zbadawszy moje uzdolnienie oświadczyła, że wkrótce będzie w możności dostarczenia mi kilka dość korzystnych lekcji muzyki i języków. Znajomość historji, dodała, mało przyniesie pani pożytku, chociaż jak widzę studjowałaś ją nie żartem, ale do udzielania tak poważnych przedmiotów rodzice przekładają zwykle nauczycieli mężczyzn. Co do nauk przyrodniczych możesz pani o nich całkiem zapomnieć, bo żadna z naszych panienek ich się nie uczy...

Pomimo ostatniego punktu który mi wcale nie przypadł do smaku, przez wzgląd szczególnie na uczące się młode pokolenie, z lekkim sercem wracałam do domu. Miałam bowiem nadzieję, że wkrótce otrzymam możność rozpoczęcia obranego zawodu.

Matkę moją znalazłam znowu w przygnębionéj postaci, siedzącą na sofie i martwemi oczami patrzącą przed siebie. Nie płakała już i nie wyrzekała, ale była bardzo smutna i blada. Emilka opowiedziała mi, że po mojem wyjściu patrzyła długo na zaułek a potem powiedziała Bini, iż nie pojmuje jak można było obrać mieszkanie w tak brzydkiem i pustem miejscu położone? Kiedy zaś w odpowiedzi na to Binia wspomniała o potrzebie oszczędzania się i o taniości mieszkań w podobnych miejscach położonych, westchnęła, usiadła na sofie z obwisłemi rękami i przez całą już godzinę najmniejszego nie uczyniła poruszenia.

XVIII.

Parę miesięcy minęło, zima skończyła się, ciepłe rzęsiste promienie wiosennego słońca, zaczęły oblewać szczyty wzgórz otaczających nasze miasto, a u stóp ich rzeka rozerwała swoją zimową powłokę z lodu i szumiała z cicha wartkim, błękitnym płynąc potokiem.

Co do mnie, w parę już tygodni po przyjeździe wypłynęłam na pełne morze zajęć, którym zupełnie oddać się odtąd miałam. Otrzymałam lekcje muzyki i języków w dwóch zamożnych domach, z których w jedném uczyłam córkę i syna bogatéj jakiejś właścicielki ziemskiéj przybyłéj do W. wyłącznie w celu wychowania dzieci, w drugim miałam trzy uczennice panienki od lat 12 do 15-stu córki jednego z najwięcéj wziętych w W. lekarzy. Wychodziłam z domu codzień o ósméj z rana udając się na te lekcje, a wracałam o trzeciéj po południu. Jako nauczycielce podrastających już dzieci płacono mi dobrze, hojnie nawet. Materjalnie więc nadspodziewanie prędko dopięłam mego celu chociaż nie zupełnie jeszcze, bo pensja jaką pobierałam mogła wprawdzie starczyć na skromne nasze utrzymanie, ale nie dawała mi środków do dostarczenia tych drobnych na pozór lecz kosztownych wygódek i uprzyjemnień, o jakich wciąż marzyłam dla mojéj matki. Z innéj strony nie posiadłam jeszcze tego moralnego zadowolenia, jakie pragnęłam znaleść w obranym zawodzie.

Nauczanie muzyki i języków, ciasne mi tylko przedstawiało pole do wpływania na moje uczennice i do podnoszenia ich moralnéj i umysłowéj strony, które właśnie według mnie było głównem, jedynem prawie zadaniem nauczycielki. Przepędzałam z dziećmi zaledwie parę godzin dziennie, a resztę czasu zostawały one pod wpływem osób, które nadawały im zupełnie inny kierunek niż ten, o jakim ja dla nich marzyłam. Widziałam że wychowywano je według najbłędniejszego systemu, a raczéj bez żadnego systemu i to mię dręczyło a zaradzić temu nie mogłam, ponieważ byłam poprostu nauczycielką muzyki i języków. To więc czego nauczałam, miało dać w przyszłości uczennicom moim tylko możność błyszczenia i popisu, tembardziéj że nawet za pomocą sztuki nie mogłam działać na rozgrzanie ich serc i podniesienie umysłów, z powodu wpływów odbieranych przez nie zkąd inąd, a psujących całą moją robotę, i nie pozwalających im przyjąć wyższych filozoficznych pojęć o sztuce, jakie ja w nie zaszczepić pragnęłam. Nie takie były moje pragnienia, i nie taką moralną korzyść obiecywałam sobie wynieść z mojego zawodu. Pojmowałam nauczycielstwo jako powołanie i kapłaństwo, i pragnęłam posiadać całkiem i na własność dusze moich uczennic, aby rozbudzić drzemiącą w nich na dnie prawdę ludzką, przyozdobić je całe w tę prawdziwą piękność, jaka nie zasadza się na światowych połyskach, ale na opromieniającéj człowieka wewnętrznéj gruntownéj wartości. Pragnęłam młodym istotom których bym była przewodniczką, ukazać życie w rzeczywistéj i szlachetnéj jego postaci, ze wszystkiemi jego nieskończonemi pięknościami, radościami i trudami i wskazać im powinność życia taką, jaką była i złożyć w ich duszach te świate pojęcia i wielkie zamiłowania, które zdwajają szczęście, odbierają gorycz boleści, podpierają w trudach, chronią od manowców. Wszystkiego tego niemogłam uczynić, skoro zadanie moje kończyć się miało na wykładzie gramatyki francuskiéj i angielskiéj, i na wprawianiu palców uczennic moich do jak najszybszego uderzenia w klawisze, bez możności nawet przejęcia je szczytnemi myślami i uczuciami, jakiemi klawisze przemawiają do tych, co zdolni są pochwycić tę na spodzie splątanych tonów drżącą ich mowę.

Z tak połowicznem dziełem pogodzić się nie mogłam; robota któréj całość obejmowałam umysłem a którą w urzeczywistnieniu nie mogłam doprowadzić do ostatecznych jéj konsekwencji, zamiast zadawalniać mię sprawiała mi wyrzuty sumienia. Zdawało mi się, że tego tylko nauczając czego nauczać mi przyszło, a przedewszystkiem w ten sposób nauczając w jaki zobowiązali mię ci, co nad uczniami memi posiadali opiekę i wpływy, rozmijam się z zadaniem jakie położyłam przed sobą i z powołania czynię rzemiosło dostarczające tylko powszedniego chleba. Rozumiałam dobrze, iż pieniężne wynagrodzenie za pracę, jest rzeczą słuszną i konieczną, że zdobycie sobie niezależnego bytu materjalnego stanowi jeden z głównych warunków niezależności moralnéj, bez któréj nie może być siły przekonań i osobistéj godności. Ale zarazem głęboko byłam przeświadczona, że każda praca oprócz téj zwierzchniéj stemplem monety naznaczonéj strony, ma innną nie tak łatwą do zobaczenia, a która także przedstawia monetę, ale tę za jaką nie ciało już, lecz duch ludzki dostarcza sobie żywności, ozdób i spokojnego łoża po trudach.

Stosuje się to do wszelkich gatunków prac i wszelkich stopni zawodów; mąż stanu, który układa prawa mające przewodniczyć miljonowemu narodowi, gdy rozumie i kocha cele swéj olbrzymiéj pracy, nie więcéj jest w posiadaniu filozoficznéj i uszlachetniającéj jéj strony, jak ojciec rodziny kierujący drobną gromadką swoją, z dłonią przyłożoną do sumienia o surowym głosie, z oczami zapatrzonemi nietylko w pożytki własne i tych których kocha, ale jeszcze w prawdy wszechludzkie i społeczne.

Zdaje mi się iż to filozoficzne pojęcie pracy, tak dalece ogarnia i uszlachetnia wszystkie bez wyjątku zadania i czynności, że gdyby znalazł się na świecie jaki zamiatacz ulic, któryby strącając z kamieni śmiecie i błoto, nie tylko myślał o płacy jaka mu za wykonanie téj roboty przypadnie, ale jeszcze uważał

ją za sposób dopomożenia wygodzie publicznéj, zapewnienia publicznego zdrowia i jako taką, robotę tę lubił i pełnił sumiennie, a rozumiejąc szanował jéj zadanie, to taki zamiatacz ulic nieskończenie nisko stojący w hierarchii społecznéj, w znaczeniu moralnem stałby równie wysoko i równeby posiadł prawo do nazwania siebie człowiekiem i obywatelem, jak świetny i znakomity mówca któryby z tą samą myślą o pożyteczności swego zadania grzmiącem słowem, wymiatał z serc i umysłów tysięcy słuchaczy śmiecie przesądów, występków i złych nałogów. Na nieszczęście zamiatacza, któryby pojmował filozoficzne znaczenie miotły, na świecie daremnieby kto chciał szukać i zaprawdę, nie dziwno jeśli zamiatacz podobny nie egzystuje na kuli ziemskiéj, skoro ludzie oddający się zawodom składającym najwyższe stopnie działalności, i wydający na nie mnóstwo umysłowego światła, jakie dano im zostało posiąść, nie rzadko w czynnościach swoich spostrzegają jedną tylko stemplem monety naznaczoną i materjalnego komfortu dostarczającą stronę, a spuszczają zupełnie z oka tę inną, na któréj miłość i myśl wyższa wyryły swoje znaki i która daje komfort duchowy jednostkom i społeczeństwom.

W pamięci mojéj głęboko wyrytym został jeden z obrazów mego dzieciństwa, w którym widziałam mego ojca siedzącego naprzeciw błękitnych i purpurowych płomieni buchających z retorty, a po ich zgaśnięciu podnoszącego czoło promienne radością i tryumfem. Zapytany w owéj chwili przez drobną dziecinę, coby znaczyło to co uczynił? to nie odpowiedział jéj: że wysmażyłem sobie w retorcie tyle a tyle pieniędzy, które mi będą wypłacone za odkrycie jakiego dokonałem, ale rzekł przejęty szczęściem i słuszną dumą: w téj chwili Bóg odkrył przede mną jedną z tajemnic swoich! Cieszył się więc i chlubił z tego, że jeden klejnot więcéj dodał do wspaniałego wianka umiejętności ludzkich, że pracą swojéj myśli otworzył przed ludzkością jedno jeszcze okno, przez które będzie ona patrzyła na przyrodę, uczyła się wielbić ją i zwyciężać w potrzebie, z uwielbienia biorąc uszlachetnienie a z walki potęgę.

Sądziłam że oddając się zawodowi nauczycielskiemu, będę mogła także odkrywać na dnie dusz młodych, leżące tajemnice i budząc je do życia, wysnuwać z nich dla uczuć moich uszlachetnienie i potęgę. Łatwo więc bardzo pojąć, że dokonać tego nie mogłam za pomocą tylko gramatyki Szapsala i Noëla, albo szumnych warjacji Liszta i Aszera mistrzów zapewne dla hałasu, jaki sprawiali mocno poleconych mi przez opiekunów moich uczennic. Często też zachodziłam do kantoru który mi dostarczył tych pierwszych lekcji, i prosiłam o możność zajęcia się całem wychowaniem dwóch lub trzech podrastających panienek, albo przynajmniéj o możność udzielania innych przedmiotów ważniejszych i gruntowniejszych, albo jeszcze na ostatek choćby o lekcje muzyki i języków, ale takich którychbym treść i program sama, według własnych przekonań, a nie czyichś wskazówek układać mogła. Właścicielka kantoru, rozsądna i miła kobieta z którą polubiłyśmy się odrazu, słuchała tych moich żądań i wzruszała ramionami

— Wymagasz pani ode mnie rzeczy niepodobnych, mówiła, zkądże ja wezmę takich uczennic i takich rodziców? U nas, jedyną nauką o jaką starają się dla kobiet są języki i muzyka, a jeżeli przyjdzie komu do głowy uczyć swoje córki historji lub nauk przyrodniczych, to wzywanym bywa do tego mężczyzna, bo to i modniejsze i więcéj zaszczytu przynosi dla domu i zresztą więcéj wzbudza zaufania. Jeżeli więc pani chcesz kształcić swoje uczennice za pomocą nauki dziejów albo umiejętności ścisłych, to przebierz się za mężczyznę, utnij włosy, namaluj sobie wąsy, a może i znajdę w całem W. parę domów, które będą żądały takich lekcji. Co się tyczy tego abyś mogła nauczać języków i muzyki według swego upodobania i wyobrażenia, o tem także pani nie myśl; panienki powinny conajprędzéj nauczyć się płynnie mówić po francuzku, aby módz konwersować w salonie i jak najwprawniéj przebierać palcami po klawiszach, aby mieć możność zachwycić i podbić salon. O filozoję języków i muzyki wcale ich rodzicom nie chodzi. Mówić o pedagogicznych celach nauczania tych przedmiotów, byłoby w ich oczach nieznośną pedanterją. Panna mówi po francuzku i gra na fortepianie tak jak gwiazda świeci i kwiat pachnie, stanowi to jéj właściwą i nieodebralną godność, któréj gdy nie posiada jest shańbioną... i nigdy dobréj partji nie zrobi. Wymagają od pani, abyś swe uczennice od stóp do głowy orzuciła błyskotkami, aby ku nim zlatywały się dobre partje jak motyle ku świecy, uczyń to a nie mięszaj się do tego co do ciebie nie należy.

Przy pierwszéj rozmowie ze mną, wspomniałaś mi pani że udzielanie historji literatury, uważasz za niezbędne prawie dla zapoznania uczennic z duchem języka obcego jakiego się uczą. Duch języka? a to na co? czy umiejętnością jego można popisać się, zadziwiać lub zainteresować? Nie. A więc jest niepotrzebnym zupełnie i wybij go pani sobie z głowy. Nawet poczciwy Szapsal i Noël dla tego tylko jest tolerowany, że wypada przy sposobności ortograficznie napisać francuzki bilecik, inaczéj dosyć by było wokabuł i konwersacji. Co do muzyki przekonałam się, że ulubionemi dla niéj mistrzami są: Beethowen, Haydn, Mozart, Mendelsohn, Szubert itp. To na nic się nie zdało; ucz pani swoje elewy Liszta bo to grzmi i hałasuje, Aszera, bo każe często ręce na krzyż zakładać; wyjątki z oper bo płaczą, lamentują i na nerwy słuchaczów działają. W obcych językach płynna mowa i wykwintna pronuncjacja, w muzyce brzęk, huk, sentyment i sztuki łamane, oto wszystko czem masz pani prawo uczennice swoje obdarzać. O reszcie nie pamiętaj albo schowaj ją dla siebie, a bądź zadowoloną tem, że za tak małe wydatkowanie twych umiejętności, tak znaczną otrzymujesz płacę.

Nie mogłam być zadowoloną i im więcéj upływało czasu, tem więcéj czułam rozdźwięk jaki zachodził między pobudkami moich czynności a ich wynikami. Pierwsze pasowały do drugich jak głowa dobrze rozwiniętego człowieka do ciała karła. Rozmyślając nieraz o mojem wysokiem pojmowaniu nauczycielskiego zawodu, i o tem, jak niedołężnie spełniać go kazały mi okoliczności, przypominałam sobie bajkę o wielkiéj górze, która malutką urodziła myszkę. Martwiło mię to i nie dawało osiągnąć téj zupełnéj pogody ducha, jaka może być udziałem człowieka wtedy tylko, gdy posiadł możność zupełnego wywnętrzenia samego siebie, wcielania swych pojęć i dążeń w widome następstwa, gdy przy końcu każdego dnia może sobie powiedzieć, że treść minionych godzin wiernie odpowiedziała téj treści jaką on w samym sobie poczuwa. Zresztą połowa czasu zostawała mi niezapełniona, a wiedziałam, że gdybym ją mogła obrócić na pracę w wyłącznym mym zawodzie podejmowaną, przyniosłoby to wiele ulg i uprzyjemnienia dla tych, których kochałam, a mnie dodałoby nieco wewnętrznéj spokojności i zadowolenia. Ale właścicielka kantoru pomimo najlepszych chęci, nie mogła mi dostarczyć dotąd więcéj lekcji, a powiadała że tak szybkie otrzymanie tych nawet jakiemi się już zajmowałam, winnam była pewnym kwalifikacjom, odznaczającym mię pośród bardzo licznego grona nauczycielek, egzystujących w W. a często pozbawionych zupełnie możności zarobkowania.

Z kilku więc względów doświadczałam zmartwienia i przeciwności, ale nie zniechęcałam się wcale i nie smuciłam tem zbytecznie. Miałam ufność, że prędzéj czy późniéj osiągnę to, czego pod względem moralnym wymagałam od siebie i zawodu mego, a pod względem materjalnym zdrowy rozsądek i opowiadania właścicielki kantoru przekonywały mię, że w porównaniu z wielu memi spółzawodniczkami, byłam bardzo szczęśliwą i uprzywilejowaną, i że na to co mi się dostało tak prędko i z taką łatwością, oczekują one często przez długie lata trudów i pracy, a niekiedy nawet oczekują napróżno. Naturalnie postanowiłam, sobie nie zaspać żadnéj okoliczności do postąpienia na drodze mojéj tak w moralnem jak w materjalnem znaczeniu, tymczasem zaś czyniłam co mogłam i jak mi danem było czynić i poskramiałam w sobie wszelkie niepokoje i bunty, które niczemu by nie pomogły, a zaszkodzić mogłyby wiele.

Godziny pozostające mi od lekcji, przepędzałam obok mojéj matki z igłą lub książką w ręku, zajmującą ją rozmową albo głośnem czytaniem. Codziennie także grywałam parę godzin na fortepianie. Często myślałam, że może i lepiéj było iż cały czas mój od razu pochłoniętym pracą zadomową nie został, bo matka moja wielce potrzebowała mego towarzystwa. Nie opuszczała ona nigdy mieszkania, chociaż z początku zdawało się nawet, że miała ochotę wyjrzeć na miasto. W tym celu zapewne włożyła była parę razy kapelusz i futro, ale zaledwie doszła do przedpokoju zdjęła je i wróciła.

Pierwszego dnia w którym wiosenne słońce zaświeciło jasno i ciepło, namówiłam ją wróciwszy z lekcji, aby wyszła wraz ze mną na przechadzkę. Wahała się parę minut, ale potem ujęta moją prośbą czy zwabiona piękną pogodą, poraz pierwszy zeszła ze wschodów mieszkania. Ale gdy tylko przebywszy zaułek weszłyśmy na dotykającą doń główną ulicę miasta, zaledwie moja matka zobaczyła tłum osób postępujących naprzeciw nas chodnikiem, i powozy mijające się na środku ulicy, zapuściła woalkę i śpiesznie zwróciła się na zaułek aby wrócić do domu. Przez woalkę dostrzegłam że spuściła oczy z wyrazem upokorzenia, i że słaby rumieniec odbił się na jéj twarzy. Zwyczajem osób które nagle z wyżyn bogactwa spadły w ubóstwo, matka moja musiała zapewne wyobrażać sobie, że wszystkie oczy zwrócone są na nią i że wszystkie usta osypują gradem złośliwych uśmiechów. Lękała się też może aby ktokolwiek z dawnych jéj znajomych, nie spojrzał na nią z góry z lekceważeniem, aby z pod kół któregokolwiek powozu nie bryznął na nią śnieg wpół roztopiony niby policzek, którym na ulicy bogaty obdarza ubogiego; aby grube jakie ramię nie strąciło ją z drogi; aby brudny jaki łachman nie otarł się o jéj suknię; aby nogi jéj nie przywykłe do stąpania po nierównym bruku nie pośliznęły się i nie zachwiały. Lękała się aby ją cokolwiek z tego nie spotkało, albo może i wszystkiego tego i wiele jeszcze innych podobnych rzeczy, i wyrzekła się wiosennéj pogody i wróciła, a wstępując na wschody miała rumieniec na twarzy i łzę pod spuszczoną powieką. Odtąd wiele dni minęło a matka moja ani razu nie wspomniała o wyjściu na miasto. Ale z wielkim żalem i obawą patrzyła zawsze na mnie, gdy obrana do codziennéj mojéj wędrówki przychodziłam ją żegnać.

(d. c. n.)

SKAŁA LEGJI HONOROWEJ

NOWELLA

B. Auerbach'a

przełożył O....

(Dalszy ciąg).

Długo oboje milczeli, Rotmistrz zdawał się przygotowywać do swéj roli. Zbudził się wreszcie z długiego zamyślenia, uśmiechnął się, powstał i podał furmanowi i lokajowi swoją cygarnicę. Wzięli po cygarze dziękując, bo obaj byli żołnierzami i umieli ocenić podobną grzeczność oficera. Marja skinęła głową z wyrazem tryumfu.

Rotmistrz od lat najmłodszych prowadził regularnie choć zwięźle dziennik i ten miał zwykle przy sobie. Znalazł wierny obrazek tego czasu, w którym poznał Ludwikę i wiele wskazówek, które mu te wspomnienia odświeżyły. Marja uznała to wszystko bardzo trafnem, nie jedno jeszcze dodała z pamięci, i w wybornych humorach stanęli przed dworem.

ROZDZIAŁ IV.

ZRĘCZNY MANEWR.

Ludwika nad wyraz serdecznie przyjęła narzeczonego swéj przyjaciołki, uważała go niemal za należącego do familji. Kazała mu przygotować pokoje w bocznem skrzydle dworu, a gdy jéj dziękował, choć tak pełen siły młodzieńczéj mówił ze wzruszeniem w głosie, i nieśmiało niemal bojaźliwie wyglądał: kiedy go prosiła aby przyjął jéj przyjaźń objął ją długiem spojrzeniem, a potem prędko spuścił oczy. We wszystkiem tem dziwna zachodziła sprzeczność.

Przypomniał Ludwice pierwsze spotkanie się z nią w stolicy i musiała uznać, że był bardzo uważającym, bo pamiętał jeszcze jaką suknię miała, jakie kwiaty i co do niego mówiła:

— Jakże on ci się podoba? zapytała Marja Ludwikę gdy były same.

— Nie pojmuję, odparła Ludwika, jak można pytać czy innéj podoba się ten, któremu mamy się oddać na całe życie. Marję dziwnie uderzyła ta powaga, zaczęła się tłomaczyć, a mowa jéj zwykle tak płynna jakoś dziś odmawiała posłuszeństwa gdy jąkając się dodawała, że zaręczyny jéj z rotmistrzem jeszcze nie są zupełnie pewnemi.

Z ojcem wkrótce stał rotmistrz na dobréj stopie, jakkolwiek z góry oświadczył, że polityka bardzo go mało zajmowała, ale punkt jego zapatrywań, jego zdania, krótko wypowiedziane na zapytania ex-posła zjednały mu szacunek i sympatję ojca, który swych spostrzeżeń zwykle córce udzielał.

Rotmistrz przyznał się Marji, że bez porównania swobodniejszym był z Ludwiką niż z jéj ojcem. Chciał wiedzieć czy ojciec o stanie rzeczy jest uwiadomionym, ale Marja zakazała mu wszelkich badań. Miała w tem jakąś szczególniejszą przyjemność, że nawet kuzynek musiał działać w tajemniczem otoczeniu. To właśnie nadawało jego obejściu ową nieśmiałość i niepewność, których skuteczność Marja już spostrzegała, a potem nie wiedziała sama czyby ojca wtajemniczyć nie należało. Tymczasem odkładała krok stanowczy do sposobnéj chwili.

Babka znała matkę rotmistrza i to mu też dopomogło do zaprzyjaźnienia się z nią. Staruszka, zwykle w milczeniu siedząca w swoim fotelu u okna, często rozmawiała z młodym człowiekiem, w którego powierzchowności i ułożeniu wiele dopatrywała ze zmarłą matką podobieństwa.

Pobyt na wsi stał się bardzo ożywionym; jeżdżono konno i w powozach, dalekie robiono wycieczki. Udawano się w pobliskie góry w miejsca zkąd odkrywały się widoki na czarowną okolicę, godną pendzla malarza.

Ludwika wysławiała szczęście swéj przyjaciołki, któréj się udało podobnego znaleść człowieka, to ją szczególniéj zastanawiało, że Marja tak żywa i płocha, mogła się przywiązać do człowieka, który w stosunku do swego wieku, niezmiernie był poważnym.

Często się zdarzało, że na przechadzkach Marja szła z ojcem a Ludwika z rotmistrzem, obfity mieli też przedmiot do rozmowy, bo i rotmistrz był trochu malarzem i wcale nie źle zdejmował krajobrazy.

Pracowali wspólnie, porównywali swoje prace i Ludwika nie jedną dawała wskazówkę młodemu człowiekowi, który jak to sam uznawał, nie kształcił swego talentu. Rotmistrz był bardzo pojętnym, zadziwiał ją często nadzwyczajnemi swemi postępami i umiejętnem jéj rad zastosowaniem.

Marja często się oddalała gdy rotmistrz był sam na sam z Ludwiką, pan Merz nawet zwrócił uwagę swéj córki na to, jak dziwnie zimnym i obojętnym był stosunek narzeczonych. Ludwika uważała w tem obejściu się rotmistrza jedynie prawdziwy szacunek: przy tem skreśliła jego charakter z serdecznem dla niego współczuciem i uznaniem.

Gdy ojciec Marji jéj orzeczenie powtórzył, poprosiła go z sobą do ogrodu na chwilę rozmowy i objaśniła mu cały stan rzeczy.

Ojciec był oburzonym, przypomniał sobie w téj chwili to co często babka mówiła, że Marja powinna była zostać aktorką. Jakże można takie rzeczy wprowadzać w życie, które na deskach teatralnych tylko ujść mogły?

Długo nie mógł znaleść odpowiedzi wreszcie oświadczył, że postępowanie Marji jest co najmniéj przewrotnem, bo nigdy nie uda jéj się dopiąć celu, i że z trudnością mu przyjdzie utrzymać rozpoczętą z rotmistrzem znajomość. Cóż to musi być za człowiek, który daje się użyć do podobnéj intrygi?

Tego dnia właśnie Ludwika z rotmistrzem rozpoczęli zdejmować widok z ruin zamku, leżącego w okolicy. Co więcéj mieli go zaraz malować, rotmistrz akwarellą, Ludwika olejno; cały dzień więc pracowali pilnie. Marja z ojcem mieli wieczorem po nich pojechać.

W drodze ojciec zaczął ubolewać nad tem zdarzeniem, które do niczego doprowadzić nie może a Ludwice zrobi wiele przykrości. Marja jednak umiała ze zwykłym humorem tę rzecz wystawić jako drobnostkę, któréj bezpotrzebnie tak wielkie nadawano znaczenie. Przyznawała, że Ludwika początkowo będzie obrażoną a nawet rozgniewaną, potem jednak wdzięczną będzie tym, co jéj dali sposobność raz w prawdziwem świetle poznać tak zacnego i prawego człowieka, jakim bez zaprzeczenia był rotmistrz. Powtórzyła jak Ludwika zawsze jéj sama to powiadała, że była tak nieszczęśliwą iż tylko żonatych i zaręczonych sprawiedliwie sądzić mogła, Marja dowodziła tak żywo, tak gorąco i wymownie, że ojciec już tylko wzruszał ramionami. Tak doszli do miejsca, w którem Ludwika z rotmistrzem zdejmowali widoki, podano przekąskę z powozu, wszyscy zasiedli i rozmowa popłynęła wesoło. Ludwika jedna siedziała poważna i zamyślona, patrzała gdzieś w dal, przed siebie i powiedziała, że jest niezadowolnioną ze swéj pracy. Rotmistrz wyznał, że się spodziewał po talencie Ludwiki czegoś lepszego, było wiele usilności i starania w tym obrazku, ale za mało było w nim śmiałości, samoistności, zbyt niewolniczo był podobnym. Marja spojrzała na niego zmięszana, ale zaraz uśmiechnęła się znowu: właśnie ta otwartość, ta sprawiedliwa nagana pozyskała mu całkowicie Ludwikę.

ROZDZIAŁ VII.

UCIECZKA PRZED WŁASNEM SERCEM.

Wszyscy czworo udali się ku ruinom. Dopiero wieczorem, gdy księżyc wysoko już był na niebie, wsiedli do powozu, aby powrócić do domu. Droga odbywała się w milczeniu, ojciec usunął się w głąb powozu, Marja zdawała się spać także, Ludwika tylko i rotmistrz czuwali. Gwiazdy migotały na niebie, słowiki śpiewały w krzakach, w powietrzu czuć było wonne tchnienie wiosny.

Rotmistrz ujął rękę Ludwiki, przytrzymał silnie, daremnie chciała ją wysunąć i zadrżała. Albrecht uścisnął jéj rękę, a ona? Czyż i ona odpłaciła mu uściskiem? Sama nic nie wiedziała o tem, lodowy dreszcz ją przebiegł. Więc to tak? Kochasz człowieka który należy do innéj. Nie! nie! poszepnęła, konwulsyjnie zacisnęła ręce i mimowolnie zawołała głośno:

— Ojcze!

— Co chcesz? zapytał rozbudzony ojciec.

— Czy ja zawołałam?

— Tak!

— Nie wiedziałam nawet. Chciałabym wysiąść.

Zawołała na woźnicę, zatrzymał się powóz, szybko otworzyła drzwiczki, wysiadła i poprosiła ojca aby jéj towarzyszył. Nie dozwoliła narzeczonym wysiąść mimo ich nalegania, kazała woźnicy jechać, a gdy już turkot powozu się rozległ, rzuciła się ojcu na szyję wołając: Ach ojcze! czuję że jestem złą do gruntu, nędzną istotą! Ojcze ratuj mnie!

Ojciec nie zdołał jeszcze wymówić słowa pociechy, gdy Ludwika zawołała znowu rozdzierającym głosem, tuląc się do jego piersi:

— Ojcze, obawiam się, że to się stać może, że to się stać musi: ja pokocham narzeczonego Marji, a on mnie.

— Gdyby też on był wolnym!

— Ojcze, nie mów tak nigdy. Proszę cię nie mówmy już o tem ani słowa.

Ojciec sam nie wiedział jakby wyjaśnić to szczególniejsze położenie. Nie mógł powiedzieć że był wtajemniczonym w tę całą intrygę bo czuł dobrze, że straciłby cały wpływ jaki miał na swe dziecko. Im dłużéj w milczeniu postępował obok córki, tem więcéj utwierdzał się w tem przekonaniu, że Ludwika najlepiéj zrobi jeżeli w samym zarodku stłumi skłonność dla człowieka, który do tak niegodnéj zniżył się roli.

W milczeniu przybyli do domu; Ludwika udała się do swego pokoju i powiedziała służbie, że z nikim już dziś nie chce się widzieć. Potem upadła na sofę a bolesna walka rozpoczęła się w jéj duszy. Oskarżała siebie samą tylko. Północ już minęła gdy się udała na spoczynek, ale sen uciekał od niéj: wstała znowu, kazała obudzić ojca i prosić go aby przyszedł do niéj. Przyszedł, a Ludwika zaczęła nalegać aby ją ratował, jeden przecież zostawał środek, można było wczas jeszcze zapobiedz. Ojciec chciał znów jéj powiedzieć, że rotmistrz może.... ale Ludwika nie pozwoliła mu dokończyć.

— Nie, nigdy! Byłabym nieuczciwą we własnych moich oczach! Prosiła ojca aby natychmiast, w nocy jeszcze udano się w zamierzoną podróż, nie mogłaby już Marji ani jéj narzeczonemu spojrzeć w oczy. Raz jeszcze probował ojciec ją przekonać, ale Ludwika przysięgła, że w nocy jeszcze opuści dom i sama w świat się rzuci, jeżeli ojciec nie przystanie na wyjazd. Nigdy jeszcze nie widział swéj córki tak mocno wzruszonéj, tak stanowczéj i gotowéj do zerwania wszelkich związków. Przystał więc na wyjazd. Ludwika napisała jeszcze list, w którym donosiła przyjaciołce, żeby przez pierwsze kilka miesięcy nie spodziewała się od niéj żadnéj wiadomości, napisała także do babki, a rano o świecie, gdy Marja spała jeszcze, wyjechał powóz w którym siedziała Ludwika z ojcem.

Rotmistrz, który także całą noc nie spał, a z okna przyglądał się wschodowi słońca, myślał że śni gdy ujrzał powóz pełen waliz podróżnych, a w nim Ludwikę i jéj ojca.

ROZDZIAŁ VIII.

OSTROŻNIE Z OGNIEM.

Ojciec i córka byli już daleko, Ludwika spała w kącie wagonu kolei, a przynajmniéj miała oczy zamknięte i nieruchomie oparta była o poduszki, kiedy Marja zeszła do sali jadalnéj na wspólne jak zwykle śniadanie. Zdziwiła się nie zastawszy nikogo, pan Merz wstawał zazwyczaj wcześnie. W tem gospodyni przyniosła jéj dwa listy, jeden był z Paryża, drugi nie miał żadnego adresu. Marja zarumieniła się na widok pierwszego, szybko jednak otworzyła drugi. Było to kilka wierszy pisanych wczoraj przez Ludwikę. Marja nie mogła pojąć co się stało? Otworzyła drugi list, zdawało się że go nie może przeczytać, kilkakrotnie przykładała rękę do czoła potem siedziała długo patrząc przed siebie bez celu, z listem w ręce bezwładnie opadłéj.

Zameldowano rotmistrza; Marja prędko schowała oba listy. Na czole rotmistrza leżało postanowienie. Powiedział Marji, że widzi teraz jak mało jest zdolnym do takich awanturniczych przedsięwzięć, mówił to żartobliwie ale w głosie jego czuć było myśl poważną gdy dodał, że położenie jego było bardzo przykre. Stał pomiędzy dwoma kobietami, zarówno ponętnemi, z których jedna grała rolę jego narzeczonéj, druga miała zostać jego żoną, a z żadną z nich ściślejszy nie łączył go stosunek. Dłużéj znieść tego już nie mógł.

Marja słuchała go cierpliwie z zaciętemi ustami, a gdy rotmistrz zapytał jéj wreszcie, czy to było snem czy rzeczywistością, co dziś zdawało mu się widzieć w pół świetle poranku, Marja dała mu list Ludwiki: Zdziwiła się jednak niemało gdy rotmistrz zawołał wesoło:

— Teraz czuję się swobodnym! Uwolniłem się od niéj i jéj złota. Kto wie czy nie byłbym się dał porwać uczuciu; byłem już na najlepszéj do tego drodze, a przecież nie zdalibyśmy się dla siebie! Myślę nawet, że na takim stosunku jaki tu położyliśmy, trwałego nie możnaby zbudować szczęścia. To dobre w komedji, gdzie nie pytamy, co się dzieje po zapadnięciu kortyny i jak oddziała podobne udawanie?

Zatrzymał się a Marja rzekła. Nie chcieli nas wydalić, więc sami uciekli z własnego domu.

Rotmistrz skinął głową, Marja ciągnęła dalej: Nie powinnam jednak była mówić o tem z panem Merz!

— A więc powiedziałaś? zawołał rotmistrz. Krew nabiegała mu do czoła, oczy zabłysły i ciągnął dalej.

— Wszystko więc dobrze! Jestem wolnym i szczęśliwym. Nie opanuje mnie już demon złota a pozostał mi anioł dobroci i wdzięku; cieszę się że komedja skończona. Pokażemy im że nie dbamy o złoto. Czy mnie rozumiesz?

— Nic nie rozumiem!

— Marjo, przekonałem się że ty jedna stosowną jesteś dla mnie na żonę. Odpowiedz mi teraz bez wahania, czy nie uważasz także że ja tylko zdać się mogę dla ciebie? Wprawdzie oboje nic nie mamy, ale gdy się będziem posiadać wzajemnie, będziemy dość bogaci, a potem nie jesteśmy mieszczanami, z życiem nie robimy sobie zbyt wiele kłopotu. Jestem zdrów i wesoły i pewien jestem że zdobędę sobie utrzymanie. Teraz powiedz mi jedno słowo. Czy zdobyłem już sobie twoje serce? Czy mam ciebie? Powiedz choć słówko!

Marja sięgnęła do kieszeni, chciała wydobyć drugi list dziś z Paryża otrzymany, ale ręka wróciła próżną. Podała tę rękę kuzynowi i rzekła.

— Pozwól mi nic nie odpowiedzieć w téj chwili. I ja nie wiedziałam że jest coś we mnie co nazywają zazdrością, ale proszę cię, pozwól abym ci nic teraz nie odpowiedziała. Ufaj mi, daj mi czas abym to wszystko rozważyła. Ani ty ani ja nie jesteśmy już dziećmi, nie mamy oboje nikogo co by za nas myślał. Proszę cię wyjedź teraz, ale nie miéj zbyt wiele nadziei. Pamiętaj że ci nic nie powiedziałam. Bądź zdrów kiedy czas nadejdzie usłyszysz o mnie. Ale raz jeszcze, pamiętaj, że nic nie przyrzekłam.

— Jednak ztąd nie odejdziesz, zawołał rotmistrz, bo muszę mieć jakąś pewność.

I pocałował drżącą rękę Marji, ta szybko wyrwała ją z jego dłoni i wybiegła z pokoju. Rotmistrz patrzył na nią, potem udał się do oficyny, zdjął elegancki ubiór cywilny i przebrany w mundur powrócił do swéj fortecy.

Marja odjechała tegoż dnia, wracając nie ukryła już swego pieska jak przyjeżdżając, inspektor pozwolił jéj otwarcie zabrać go do wagonu. Długo siedziała cicho a wyżełek spoglądał na nią zdziwiony, gdyż taką nie widział jeszcze swéj pani. Nie miała dla niego ani jednego spojrzenia, ani jednego słowa. Po chwili wyjęła list Ludwika z kieszeni, przeczytała go szybko i podarła na drobne kawałki które wyrzuciła za okna wagonu. Wiatr rozniósł je tak daleko od siebie, że niktby ich złożyć już niezdołał.

Wyjęła i drugi list, popatrzyła wstrząsnąwszy głową na włożoną w niego fotografię potem czytała: „Czyim jest ten portret? Nie, tak się nie spytasz, gdy wzrok twój pełen światła i ciepła spocznie na tym obrazku. Zmieniłem się wprawdzie zewnętrznie, ale gdyby z duszy można było zdjąć fotografję, nie znalazłabyś w niéj ani jednego obcego ci rysu.

A teraz gdzie jesteś? Jak żyjesz. Czy mam je szcze prawo nazywać cię po imieniu? Czy jesteś jeszcze wolną? Czy jesteś twoją, aby moją zostać?

Przebacz mi kłopotliwe znaki zapytania.

Mam ci coś pozytywnego powiedzieć. To o czém marzyłem z tobą na owym okręcie, stało się rzeczywistością. Doszedłem do sławy i położenia, które mi daje możność zapewnienia tobie— nam—wesołéj, od nędzy i troski zabezpieczonéj przyszłości.

Przybędę do ciebie, gdzie mnie powołasz.

Jedno jeszcze, tylko szczerze i otwarcie.

Gdybym ci się już nie wydawał takim jak dawniéj, jesteś wolną. Wtedy uroczyście podamy sobie ręce i powiemy, nie miało tak być!

Przejrzałem list. Pisałem jakoś niejasno, sam przecież jestem jasnym i czystym, tylko inaczéj nie umiem się wyrażać. Serce bije mi tak silnie jak wtedy gdym cię widział odjeżdżającą.

Jestem pełen ufności i nadziei i takim pragnę pozostać tak długo jak żyję

Twoim.....

Marja oderwała podpis, chciała i ten list podrzeć ale się wstrzymała, i rzekła do siebie:

— Oddaję ci wolność, abyś mógł być wolnym i na nowo probować. Nie, nie! to szczera, otwarta dusza nie ma w nim przewrotności! Tak, takim był, ale czy nim dziś jest jeszcze?

Długo przyglądała się fotografji, potem włożyła ją razem z listem do kieszeni.

Powróciwszy zastała swą panią zajętą jak zwykle, rozrzucaniem kawałków papieru po wszystkich kątach pokoju.

ROZDZIAŁ IX.

SPOKOJNA USTROŃ.

Wiele już miesięcy ubiegło od wyżéj opowiedzianych wypadków. U wybrzeży jeziora Vierwaldstätter stał parowiec. Z powozu, którego pochodzenie było widocznie włoskiem, wysiadł pan Merz z córką, oboje mocno opaleni, cera ich za to nosiła cechy zdrowia. Zaczęto znosić na statek liczne walizy i tłomoki, i woźnica Włoch dziękował wymownie państwu, i choć statek już odbił od brzegu, a on jeszcze prawdziwie południową gestykulacją przesyłał im pożegnania.

Na pokładzie parowca, który przebiegał jezioro Vierwaldstätter,towarzystwo było niezmiernie różnorodne i wszystkie języki cywilizowanego świata brzmiały w około, wrażenia jednak wspólnego doznawali wszyscy: uwielbienia dla pięknego widoku jeziora, otoczonego licznemi osadami i pasmem gór niebotycznych. To wrażenie każdy tłomaczył po swojemu, a rozmowy nabierały tego kolorytu jaki widzimy w towarzystwach wtedy, gdy nas muzyka otoczy. Jak wówczas mimowolnie w ruchu słuchamy tych dźwięków płynących z zewnątrz, tak i tu mówiono o wszystkiem ale towarzyszące wrażenia, wywołane majestatyczną naturą otaczającą podróżnych, elektryzowało wszelkie rozmowy i sprawiało że chwilami milkły zupełnie.

Niedaleko sternika siedziała Ludwika sama, spoglądając z zachwytem w roztaczający się krajobraz. Mało ją obchodziło że nie jeden wzrok zwracał się w jéj stronę, słuchała nawet obojętnie jak odgadywano się odgadnąć kimby była. Jedni mieli ją za młodą wdowę, co po żałobie znów wraca do życia, inni za młodą żonę, towarzyszącego jéj podeszłego wiekiem człowieka.

Ojciec spotkał jednego ze swoich kolegów z izby poselskiéj, który żartował sobie z Ludwiki że tak zawiodła jego oczekiwania dotąd pozostając niezamężną. Teraz stali obadwaj na przeciwnym końcu statku i naturalnie zaraz rozpoczęli rozprawę o stosunkach krajowych. Nie byli wprawdzie obaj bezpośrednio czynnymi, niemniéj jednak sprawy te budziły w nich serdeczne zajęcia. Kolega opowiadał, że córka która w czasie owéj ożywionéj zimy zaręczyła się, dała mu już trzech wnuków, i że teraz jedzie na spotkanie najmłodszéj swéj córki, która wraz z mężem wraca z poślubnéj po Włoszech podróży. Człowiek ten miał pięć córek, wydał je za urzędników i oficerów, najmłodszéj mężem był bogaty

fabrykant. Rozpływał się, przeciw zwyczajowi innych, w pochwałach dla dzisiejszéj młodéj generacji, nie jest ona już tak romantyczną, jak my starzy byliśmy, ale jest rozważniejszą i energiczniejszą. Delikatnie i bardzo ostrożnie pytał jak się to stało, że Ludwika dotąd była niezamężną.

Pan Merz zwierzył mu się, że od śmierci żony było to głównem jego zmartwieniem, że szczerze pragnął zapewnić swéj córce szczęście domowe jedyne prawdziwe szczęście kobiety.

Kolega pana Merz znalazł na statku brata jednego ze swoich zięciów, młodego oficera, zawołał go i przedstawił panu Merz i Ludwice.

Ludwika zaczęła się już obawiać że trzeba będzie wieczór cały, a może i więcéj spędzić w przypadkowo napotkanem towarzystwie, i poświęcić mu tak pożądaną samotność. Kiedy parowiec zatrzymał się w jednéj z zatok jeziora, ujrzano wesoły domeczek okolony ogródkiem. Cała ta osada zdawała się zapraszać podróżników. Ludwika dowiedziała się, że tu wylądować można i uprosiła ojca aby wysiedli. Miejsce było tak wesołe, tak ponętne, i nie było już czasu do namysłu bo już dzwoniono. Ludwika szybko chwyciła za worek podróżny, namówiła ojca żeby swój wziął, — położono deskę, Ludwika i jéj ojciec wysiedli a pakunki przeniesiono za nimi.

Z brzegu już przesłali pożegnania swym nowym znajomym, którzy na nich spoglądali zdumieni, zaraz jednak zwrócili się szybko.

— Dziękuję ci ojcze, odezwała się Ludwika odetchnąwszy swobodnie, nie wiem dla czego, ale zdaje mi się, że kiedyś we śnie widziałam to miejsce zupełnie tak jak je teraz widzę. Zupełnie tak samo błyszczało jezioro, — tak samo tryskał zdrój, tak samo domek okryty był niby łuskowym pancerzem i głos dzwonka nawet słyszałam we śnie jak teraz dolatujący nas z wioski. Ach, ojcze, jakże tu pięknie ileż to jeszcze pięknych i spokojnych miejsc jest na ziemi!

Gospodyni nadeszła i powitała podróżnych we francuzkim języku. Wskazała na domek i rzekła, że dziś właśnie dwa narożne pokoje z balkonem z którego był czarowny widok na jezioro, zostały opróżnione.

Gaspard, totumfacki domowy, z dumą noszący na głowie wysoką czapkę, na któréj daszku wypisane było nazwisko miejsca, skinął na gospodynię, wzrok jego mówił: to są znakomici goście, jakiś pan ze statku, który ma w dziurce trzy wstążki orderowe. Nawet pies domowy uważał sobie za obowiązek powitać nowo przybyłych, patrzył w oczy Ludwice, a potem usiadł przed nią. Gospodyni chciała go odpędzić, ale Ludwika powiedziała że lubi zwierzęta, zawołała psa, który też zaraz zaczął jéj się łasić, a potem biegł do swojéj pani jakby mówiąc: Widzisz jak mnie lubią podróżni, poznali zaraz, że ze mnie dobre psisko!

Ludwika wsparłszy się na ręku ojca udała się do domu, przed drzwiami dwoje dzieci bawiło się na desce. Chłopiec w pąsowéj bluzie w krótkich spodniach, w cienkich do kostek sięgających białych pończoszkach i żółtych naturalnego koloru skóry trzewikach, stał na jednéj stronie deski i kijem posuwał po piasku jakby wiosłował na łódce. Dziewczynka w eleganckim malowniczym stroju miejscowym, siedziała na drugim końcu deski, na podnóżku i prosiła żeglarza żeby jéj pozwolił napić się wody z jeziora. Chłopiec przyzwolił grzecznem skinieniem ręki, dziewczynka pochyliła się na piasek i udawała że pije wodę.

Ludwika zatrzymała ojca i rzekła cicho:

— Jakże to cudowne! Powitała dzieci po francuzku, odpowiedziały jéj tąż samą mową, chłopiec z jakąś poważną grzecznością, dziewczynka uprzejmie. Ojciec i córka udali się do swoich pokoi, i Ludwika zapytała gospodyni, kto był ich sąsiadem? Otrzymała odpowiedź że z téj strony nie potrzebują się żadnego obawiać niepokoju, gdyż to są malarze którzy dnie całe spędzają w górach. Ludwika stanęła na balkonie, ręce złożyła na piersi:

— Ojcze, odezwała się gdy tenże nadszedł, zdaje mi się, że atmosfera szczęścia mnie otacza. Nie wiedziałam wcale, że jeszcze tyle spokoju, tyle orzeźwiającego powietrza na oddech jest na świecie.

— Tak, dodał ojciec, „możesz tu znaleść wiele przyjemności, w tym domu mieszka pięciu malarzy francuzkich z żonami i dziećmi.”

ROZDZIAŁ X.

RADOŚNIE POWITANY.

Gdy długi czas patrzyliśmy tylko z szybko jadącego powozu lub parowca na uciekające przed naszym wzrokiem widoki, to spokojne spojrzenie ze stałego punktu, choćby czasowego zamieszkania jest nam prawdziwą przyjemnością. Z takiem uczuciem siedzieli ojciec i córka na balkonie spoglądając ku górom po za spokojne fale jeziora. Żaden gwar nie przerywał tego spokoju prócz szmeru źródła w ogrodzie, lub dolatującego czasami krzyku dzieci, goniących się nad brzegiem wody. Nadszedł zachód słońca, niebo i ziemia pokrywało się co chwila innym kolorytem, a jezioro odbiło ten widok. Noc nadeszła, rozległ się głos dzwonu we wsi, dzieci szybko pobiegły ku domowi, chłopiec w pąsowéj bluzie nie dał się uprzedzić innym, i dobiegł do domu nim jeszcze ozwał się dzwonek, zwołujący mieszkańców na wspólną wieczerzę.

Kiedy ojciec z córką weszli do sali jadalnéj, wzrok wszystkich obecnych zwrócił się ku nim, zaraz jednak podjęto przerwaną rozmowę, która toczyła się wyłącznie we francuzkim języku. Ojciec z córką jako nowo przybyli siedzieli, zgodnie z przyjętym tu zwyczajem, na drugim końcu stołu. Prezydujący przy nim był to stary żołnierz z siwym wąsem i śnieżnym przy skórze ostrzyżonym włosem. Zwracał się ciągle do dwóch kobiet siedzących obok niego, i zdawał się być zadowolnionym z zajęcia, jakie mu okazywali nowo przybyli.

Nasi znajomi poczuli, że weszli w kółko zupełnie w sobie zamknięte i że będą zmuszeni czekać jakie im los względem tego kółka naznaczy stanowisko. Naprzeciw Ludwiki siedział młody człowiek, który z nikim nie rozmawiał. Czyż był wyłączonym z tego koła, czy sam doń nie chciał należeć. Trudno to było odgadnąć. Nim jednak jeszcze obiad się skończył, opuścił młody człowiek salę, nie żegnając cię z nikim i jakby niechętnie.

Kiedy wstano od stołu przywitała Ludwika owe dzieci, które na wstępie zrobiły na niéj tak miłe wrażenie. Matka zbliżyła się, zawiązała z Ludwiką rozmowę i wreszcie spytała, czy nie zostawiła swych dzieci w domu, kiedy ją obce tak mocno zajmują? Twarz Ludwiki oblał rumieniec, gdy przeczące odpowiadała na to pytanie. Towarzystwo udało się do przyległego salonu. Ludwika przeszła tam także. Kilku mężczyzn zapaliwszy cygara, wyszło z mieszkania, pan Merz udał się za nimi. Nie mogąc jednak z obcymi zawiązać rozmowy, sam zaczął przechadzać się po ogrodzie nad brzegiem jeziora, prezydujący wreszcie przyłączył się do niego i przedstawił mu się jako oficer szwajcarsko-francuzki. Był on najdawniejszym gościem tego domu i nie mógł dość nachwalić się jak przyjemnie upływało tu życie. Nie wiemy tylko mówił, czy w interesie gospodarza chwalić innym tę przyjemną ustroń, czy też oddalić zbyteczny napływ, któryby zniszczył dotychczasową naszą spokojność.

Wkrótce też i Ludwika opuściła salony i połączyła się z ojcem, który przedstawił ją pułkownikowi. Ludwika zapytała się o młodego człowieka, który w czasie obiadu siedział naprzeciw. Pułkownik wyjaśnił że to był lekarz, Niemiec, który towarzyszył pacientowi, cierpiącemu na chorobę nerwową posuniętą niemal do melancholji. Młody człowiek musiał całe dnie spędzać ze swym pacientem, który go na chwilę nie chciał puścić od siebie, głównym jednak powodem jego ponurego usposobienia było to, że nie mówił po francuzku i czuł się przez to wyłączonym z towarzystwa.

Gospodyni powiedziała Ludwice, że po jedenastéj księżyc w pełni zejdzie nad górami i że nie powinna ominąć sposobności zobaczenia tak uroczego widoku. Ludwika chciała się doczekać wschodu księżyca, ale tak ona jak ojciec byli bardzo znużeni, udali się więc na spoczynek i zaraz też usnęli.

Nagle wśród nocy zbudziła się Ludwika, księżyc w pełni świecił tak jasno, że musiała aż przymknąć oczy.

Wstała z łóżka stanęła w oknie i spoglądała na fantastycznie, jakby we śnie jakimś, oświetlony krajobraz, i na jezioro, w którego głębiach odbijał się księżyc szeroką błyszczącą smugą.

Zdala zobaczyła płynącą łódkę po srebrnéj, księżycowéj drodze: w łódce siedział człowiek i gwizdał jakąś piosenkę, któréj odgłos rozlegał się wesoło wśród jasnéj nocy. Gwizdanie było coraz silniejsze, coraz żywsze i wyraźniejsze, okna w domu zaczęły się otwierać, głosy męzkie i kobiece wołały zewsząd: Monsieur Edgard! Krzyk wesoły połączony ze śmiechem, jak wybuch rakiety, odpowiedział im z jeziora i coraz weseléj i silniéj gwizdał człowiek siedzący w łódce. Gospodarz, gospodyni i gospodarz przybiegli na brzeg i udzielali sobie radosnéj nowiny, że Monsieur Edgard przybywa. Pies przytem szczekał zapamiętale.

Łódka dobiła do brzegu. Mężczyzna wysokiego wzrostu, w spiczastym, tyrolskim na głowie kapeluszy, który zdjął właśnie na powitanie gospodarzy i wołających nań z okien, wysiadł z łódki. Opowiadał głośno, że wprawdzie żaden parowiec w nocy nie płynął, że jednak nie chcąc nocować nigdzie w pobliżu wynajął sobie łódkę i nocą tu przybył.

Ludwika słyszała jeszcze jak gospodyni mówiła, że jego ulubiony pokój narożny nie jest wolnym, że jakaś młoda kobieta i stary pan zajęli go dziś właśnie, że jednak pewnie długo tu nie myślą pozostać.

Nieznajomy wszedł do domu, za nim wniesiono pakunki. Wszystko znów ucichło, księżyc również jasno i spokojnie świecił nad górami i jeziorem, wszędzie panował spokój, tylko Ludwika czuła silniejsze bicie serca. Cóż to znaczy? Doprawdy, czasem w życiu spotykamy tak dziwaczne zdarzenia jakim w bajkach i legendach nie dajemy wiary. Czyż ten przybywający w noc księżycową mężczyzna, to serdeczne powitanie go nie zakrawało na jakąś bajkę.

Jak to jednak po dniu będzie wyglądać, wśród prozy naszego świata, o stałych cenach i stałych pensjach.

Przed domem słychać było plusk fontanny: zdawało się jakby i ona wyuczyła się tego wołania, które przed chwilą rozlegało się w około: „Monsieur

Edgard! Monsieur Edgard. Tak brzmiało ciągle dopóki Ludwika nie zasnęła.

ROZDZIAŁ XI.

NOWY SĄSIAD.

Nazajutrz rano zbudził Ludwikę dopiero dzwonek zwołujący na wspólne śniadanie. Ojciec stał przy jéj łóżku i opowiadał, że powrócił już z dalekiéj wycieczki i że spełniając jéj życzenie, telegrafował do Lucerny, żeby mu tutaj przesyłano listy i gazety. Ludwika nie wiedziała nawet czego sobie życzyła: siedziała na łóżku i przypominała sobie, czy obraz który z dzisiejszéj nocy pozostał w jéj pamięci, był snem lub rzeczywistością. Prosiła ojca aby poczekał na nią w przyległym pokoju nim się ubierze, ale zaraz po jego wyjściu zapytała przeze drzwi, czy ojciec nic nie słyszał o jakim panu Edgardzie, który miał przybyć dziś w nocy?

— Naturalnie odrzekł ojciec że słyszałem, bo cały dom promienieje radością, gospodarze, goście, kelnerzy a przedewszystkiem Gaspard, mówił do pasterza: teraz dopiero będzie wesoło! Monsieur Edgard jest u nas! Słyszałem jak rozmawiał o tem z gospodarzem, żeby dziś jeszcze można było zbudować mu pomost.

Ludwika chciała powiedzieć ojcu, że była świadkiem jego przybycia, chciała go spytać czy widział już tego gościa co z sobą radość przynosi, ale się wstrzymała. Wkrótce zeszła z ojcem do sali, w któréj na małych stolikach zastawiono śniadanie. W około okrągłego stołu siedziały kobiety i mężczyzni, wzrok ich i słowa zwracały się wyłącznie ku jednemu, który chłopca w pąsowéj bluzie i dziewczynkę dziś zupełnie biało ubraną, trzymał na kolanach.

Był to wysoki mężczyzna z ogorzałą twarzą, gęstemi czarnemi włosami i czarną krótko przystrzyżoną brodą. Głos jego miał jakiś dźwięk silny a sympatyczny, wyraz twarzy jakiś przyjacielski; włożył leżące przed nim na stole okulary i spytał o coś cicho matki dwojga dzieci.

Musiał widać zapytywać o Ludwikę i jéj ojca, bo odpowiedziano mu również cicho i spojrzenia wszystkich skierowały się ku ojcu i córce, którzy wkrótce zupełnie osamotnieni pozostali w sali, bo całe towarzystwo przeszło do ogrodu, dokąd nowo przybyły, a był nim Monsieur Edgard, udał się trzymając dzieci za ręce.

Szczególniejsza sprzeczność mówił ojciec do Ludwiki, Francuzi, którzy mają więcéj uczucia równości jak wolności, są przecież próżnemi czcicielami orderów, w podróż udają się z czerwoną wstążeczką w dziurce od guzika, i tu nawet, w rzeczypospolitéj Szwajcarskiéj, gdzie nie ma żadnych orderów, nie chcą się z nią rozstać.

— Być może że to jest próżność, odrzekła Ludwika, ale order wkłada na nich obowiązek niezwykłego postępowania, a ten musi być niezwykłym człowiekiem.

— Kto?

— Ten pan Edgard. Kiedy go zobaczyłam zeszłéj nocy, nie uwierzyłabym była, że po dniu nosi wstążeczkę orderową, tu w obec tych gór, gdzie wszystko tak maleje. Opowiedziała ojcu zdarzenie dzisiejszéj nocy i jakiś bolesny odcień był w jéj głosie gdy dodała, że przy świetle dziennem każden wypadek musi postradać swoją niezwykłość, a zejść do powszedności.

Gospodyni, która wyszła opowiedziała im niepytana, że Monsieur Edgard był ulubieńcem wszystkich. Że z Rzymu już tu kilkokrotnie przybywał na lato, a ostatnim razem bawił pięć miesięcy i malował śliczny obraz zdjęty z okolicy.

Pan Merz zapytał, czy matka dwojga dzieci była jego żoną? Gospodyni zaprzeczyła i dodała, że tak wesoły mężczyzna, nie mógłby być żonatym on też nie dba o kobiety, ale dzieci kocha do szaleństwa.

Ludwika zapytała, czyby nie można obejrzeć tego co bawiący tu artyści wymalowali? Gospodyni wzruszyła ramionami, malarze to jak ptaki co nigdy prosto nie lecą do gniazda ale go okrążają, aby się nie zdradzić przed okiem ciekawych, starają się usilnie o to, aby im nie przeszkodzono, jeżeli jednak ktoś znajdzie skryte miejsce w którem pracują, temu już zapobiedz nie mogą.

Mężczyzni wszyscy wyszli, nawet gospodarz i Gaspard byli niewidzialnymi. Matka dwojga dzieci siedziała wraz z innemi kobietami w cieniu, koło domu, zajęta ręczną robótką. Ludwika chętnie byłaby się do nich przyłączyła, ale jéj nie zaproszono. Cicho było w domu i ogrodzie, tylko chłopiec i dziewczynka siedzieli nad brzegiem jeziora zajęci psem, który pełniąc swój obowiązek chętnie robił z siebie ofiarę aby zabawić gości.

Nadszedł nerwowo chory razem ze swoim towarzyszem. Ludwika i ojciec powitali ich, ale chory zwrócił się w inną stronę: znów więc szli sami.

Ludwika udała się do swego pokoju, chciała zabrać pudełko z farbami i poszukać sobie dobrego punktu do zdjęcia widoku z okolicy, ale jakiś mimowolny wstyd powstrzymywał ją. Jakże mogłaby się odważyć na dyletanckie próby, tu w otoczeniu malarzy.

Udała się za ojcem na wieś, do jakiegoś pagórka, z którego miał być szczególnie piękny widok na okolicę. Tu pan Merz szczęśliwym trafem napotkał człowieka, który miał we wsi letnie mieszkanie i obecnie był zajęty przeglądaniem pakietu najświeższych gazet. Zawiązała się znajomość i ów człowiek przyrzekł codzień nadsyłać panu Merz swoje gazety. Był to niezmiernie poważny i znany ówczesnie członek rady związkowéj Szwajcarji, niedługo zawiązała się między obydwoma żywa polityczna dysputa, w skutek któréj ojciec i córka zaproszeni zostali do domku wieśniaczego, który sobie ich znajomy nader wygodnie urządził i w którym, pożeniwszy wszystkie swoje dzieci, sam z żoną zamieszkiwał.

Było coś orzeźwiającego dla ducha w tem spojrzeniu w ich ciche, domowe życie.

Gdy w południe opuszczali domek, rzekł pan Merz. Nie wiemy jak mało nam do szczęścia potrzeba.

— Kochany ojcze, ci ludzie mają niemało; mają nieograniczony spokój i byt bez troski, a to nie jest tak mało.

— Tak, tak, odrzekł ojciec gdyby twoja matka nie umarła i gdybyś ty była poszła za mąż, zdaje mi się że my oboje z matką, bylibyśmy sobie wybrali taki domeczek na tym pięknym kawałku ziemi, ale o tem się mówić nie powinno.

Gdy oboje powrócili do oberży, całe towarzystwo miało już zasiąść do stołu, wrzawa rozmów dobiegała ich zdala; powodem sporu było to, że Monsieur Edgar nie chciał, stosownie do życzenia przyjaciół, usiąść wśród nich na początku stołu, ale pragnął być wiernym panującemu zwyczajowi. Wszyscy nalegali, jeden tylko prezydujący półkownik przyznał mu słuszność i pan Edgard usiadł naprzeciw Ludwiki obok doktora. Przy stole niewymówiono ani słowa, a natychmiast po obiedzie znikli wszyscy artyści.

Po południu przyłączyła się Ludwika do pozostałych kobiet, podczas gdy ojciec z nowopoznanym radcą zwiedzał fabryki jedwabiu w okolicy.

Wieczorem, gdy powrócili malarze, przedstawiono wszystkiem Ludwikę, również i panu Edgardowi.

Po kolacji zebrano się znowu w salonie; matka dwojga dzieci śpiewała śliczne francuzkie piosenki, jéj siostra, wysmukła, młoda z blond lokami, dała się uprosić i zagrała na skrzypcach, a młoda mężatka akompaniowała jéj na fortepianie. Widok młodéj dziewczyny o pięknych pełnych wdzięku ruchach, ze skrzypcami w ręku był zachwycający. Oko Edgarda spoczywało na niéj bezprzestannie. Ludwika siedziała przy ojcu, pochyliła się i szepnęła mu: Czy nie uważasz, ojcze, jak ona jest podobną do Marji?

W téj chwili pan Edgard zajął wolne obok Ludwiki krzesło i prosił, aby i ona zagrała co lub zaśpiewała. Ludwika wymówiła się tem, że nie jest muzykalną i tyle prawdy leżało w jéj głosie, że pan Edgard najzupełniéj jéj uwierzył i dodał, że pewnym jest, iż prosta chęć drożenia się nie pobudziłaby ją do kłamliwéj wymówki.

Ludwika podziękowała ale zadziwiło ją to nadzwyczajnie, że człowiek który z nią tak mało mówił, umiał zajrzeć aż na dno do jéj duszy. Chciała spytać zkąd powziął o niéj tak dobre mniemanie, ale powstrzymała się sądząc, że był to może nowy rodzaj francuzkiéj grzeczności.

Gdy jednak pan Edgard zrobił uwagę, że sądząc z dźwięku jéj mowy, możnaby myśleć że śpiewać umie, odpowiedziała, że dawniéj miała nieco głosu, ale był on tak miernym, że zaprzestała dalszéj w tym kierunku pracy.

Pan Edgard wymownie zaczął dowodzić, jak muzyka jest jedyną wszystkim wspólną sztuką. Ludzie różnéj narodowości, z różnych sfer społecznych, znajdują w państwie tonów, coś co jest wyższem nad wszelkie języków różnice, coś kosmopolitycznego, jakąś łącznię. Potem żartem dodał.

— Gdyby ci co stawiali wieżę Babel, umieli byli śpiewać, prawdopodobnie nigdy by nie było doszło do pomieszania języków.

Rozmowa ta miała coś tak prostego a tak przekonywającego, coś tak w żarcie jak i w poważnéj rozprawie pewnego siebie i stanowczego, że dowodziła nietylko wysokiéj towarzyskiéj ogłady, ale i głębokiéj a samotnéj pracy myśli. Ludwika przywykła do tego że z pojedynczych zdań tworzyła sobie ich ducha, myśli i uczuć, patrzała na rozmawiającego z prawdziwem zajęciem. Ten jednak wstał wkrótce, zwrócił się do owéj blondynki, która grała na skrzypcach, poczem z przyjaciołmi przeszedł do ogrodu.

Ludwika udała się tamże z kobietami. Śmiechy i żarty rozniosły echa wybrzeża w téj ciepłéj księżycowéj nocy, z niemi mięszał się plusk fali....

Ludwika czuła się w tem towarzystwie swobodną, i znowu gdy została sama z ojcem, unosiła się nad szczęśliwym trafem, który ich tu sprowadził.

Nazajutrz rano radca w swéj łodzi podpłynął do przystani hotelu i przysłał przewoźnika do pana Merz z oświadczeniem wyjazdu w dość odległe miejsce na połów ryb. I proboszcz miejscowy, wesoły towarzysz, który wiele o swojem rybołówstwie rozpowiadał, miał należeć do téj wyprawy.

(d. n.)

N. 1. Ubranie podróżne z tuniką i karoczkiem.

Kostium powyższy wełniany ciemno-zielony, ozdabiają ciemniejsze 6 cent. szer. plisy, naszyte dwa razy gładko sutaszową plecionką jedwabną w tymże kolorze, a raz w desenik. Ciemna frendzla wykończa skromny ten garnirunek. Gładka tunika podpięta jest w tyle; stanik z karoczkiem w dwa zęby rozchodzącym się w tyle, tak jest na przodzie ubrany naszyciem, że wygląda jak kaftanik z kamizelką. Rękaw trochę rozszerzony u dołu, zaokrąglony, podszywa się szeroką falbaną. Kapelusz słomkowy z woalem białym gazowym ze szlakami zielonemi do prania, związuje się na kokardę z przodu.

N. 2. Spacerowa suknia.

Suknia wierzchnia „écru" płócienna, ubrana gipiurami białemi, zrobiona być może podług kroju 16 — 17 i 24 w N. 18 Tyg. Mód. Okrycie („vêtement") podwlekane pod gipiurami materją koloru sukni, nosi się także na każdéj jedwabnéj spódnicy, ubranéj u dołu plisowaną falbaną. Kapelusz i krawatka powinny odpowiadać sukni.

N. 3. Pas na meble, portiery i t. d.

Zobacz opis ryc. 22 w N. 25 Tyg. Mód.

N. 4. Szydełkowy pas na kołdry, dywaniki i t. d.

Pas ten w trzech jaskrawych kolorach odrobiony, odbija dobrze przy aksamitnych lub rypsowych pasach ciemnych jednokolorowych. Robota aż do brzegu czarnego mięszanego z żółtą filozelą, wymaga ciągle tunetańskiego ściegu. Pąsowy środek, wyszywa się takimże jedwabiem. Pierwszy pąsowy rządek obłańcuszkowany jest żółtym jedwabiem; w najbliższym rządku żółtym od prawego do lewego brzegu, trzeba oczka wyciągać z pod oczek łańcuszkowych, ażeby nitka robocza zawsze była na prawéj stronie, co formuje rodzaj podwójnego jedwabnego brzeżka. Drugi żółty rządek, obłańcuszkowywa się z powrotem pąsową nitką. Oba rzędy, jeszcze raz się powtarzają. Następują potem cztery gładkie pąsowe rzędy tunetańskie, poczem cztery pierwéj opisane rzędy dają się na zakończenie. Po ostatnim rządku żółtym. obłańcuszkowanym z powrotem pąsowo, daje się jeszcze jeden rząd zupełnie pąsowy. Brzegi, obrabiają się ścisłemi oczkami z czarnéj włóczki i żółtéj filozeli na przemiany, przyczem konieczne są ciągle dwie nitki.

N. 5—7. Poduszka pod nogi w medaljony.

Materjał: Ciemno i jasno-brązowe sukno; ciemno-brązowy aksamit; złoty i jasno-brązowy sznur karbowany; brązowy, zielony do cieniu, szafirowy, pąsowy, różowy i popielaty kordonek; 2 cent. szer. jasno-brązowa, atłasowa wstążeczka, ciemno-brązowy sznur i amerykańska skóra. Rączka drewniana, okręcona brązowym jedwabiem i złotem 6 cent. wysoka.

Poduszka powyższa z kartonu 30 cent. mającym spodem, wypchana sianem i przeszyta środkiem, trzyma 10 cent. wysokości. Zewnątrz poszyta jest czterema równemi cząstkami brązowego sukna, 20 c. szer. a [illegible] cent. wysokiemi, które się schodzą z sobą pod drewnianą rączką. Cztery ukośne aksamitne marszczone kliny wszywają się wzdłuż czterech rogów, jak to widać na ryc. 5. Arabeski wyszyte brązowym sznurem, kordonkiem takimże i złotem, odrabiają się również podług ryc. 5. Na medaljony podaje rycina 6 [illegible]tłaskowy bukiet, wyszyty na ciemno-brązowym owalu, wyciętym w ząbeczki i przytwierdzonym złotemi krzyżykami na każdéj cząsteczce, zakończonéj riuszą jasno-brązową w atłasie. Ryc. 7 podaje inny medaljon więcéj arabeskowy, wyszyty dwoma cieniami brązowemi i złotemi, z aksamitem w środku. Spód podbija się amerykańską skórą; brzegi oszywają brązowym jedwabnym sznurem.

N. 8. Koszyk do robótek damskich.

Koszyk ten biały pleciony, kwadratowy, o dwóch pałączkach ma 17 c. wysokości, 28 i pół długości, a 17 c. szerokości. Perkal koloru „écru" z białą koroneczką, stanowi jego garnirunek. Falbany spadające jedna na drugą $5^1/_2$ i $10^1/_2$ c. szerokie pokrywają go w całości. Na wieczku umieszczona jest 5 c. szer. a 12 c. długa poduszeczka watą wypchana, oszyta 4 i pół c. szer. w ząbki wycinaną riuszą, jak to widzieć można na ryc. 3 w N. 25 Tyg. Mód. Dwie duże kokardy pokrywają przyczepienie pałączków. Środek koszyka wybija się perkalem, który przyczepiony tylko po rogach, formuje cztery kieszenie. Wieczko 2 i pół c. zachodzące na koszyk, podbija się ze spodu perkalem owiniętym kartonem, który obejmuje wszystkie przybory do roboty wraz z wachlarzem.

N. 9. Muślinowy fartuszek z koroneczką i haftem.

Fartuszek perkalowy albo batystowy koloru „écru" na modelu jest z białego muślinu, w jeden bryt, zaokrąglony u dołu 46 cent. długi, 57 cent. szeroki i wszyty po zmarszczeniu na 15 cent. w pasek. Brzeg oszywa się szlarką w zęby dwa razy przystębnowaną, 3 cent. szeroką, z pod któréj wystaje 3 cent. szeroka koronka. Ten sam garnirunek, przyozdabiają 7 cent. wysokie a $8^1/_2$ cent. szerokie zaokrąglone u dołu kieszonki, $^1/_2$ cent. szeroką pliską przytwierdzone, na 16 cent. od góry a 22 c. od dolnego brzegu.

N. 10. Fartuszek koronką oszyty.

Fartuszek z jedną kieszonką, przyrządza się podług poprzedniego opisu, różniąc się jedynie szlakiem, który przytwierdza kolorowa riusza. Kieszonka materją podszyta, zdaje się wisieć na wstążkach, przyszytych do paska pod sutą kokardą. Odpowiednia wstążka stanowi pasek i bandaże. Model nasz muślinowy, służyć może też na fartuszek jedwabny czarny, przybrany czarnemi koronkami.



N. 1. Ubranie podróżne z tuniką i karoczkiem. N. 2. Spacerowe ubranie.

N. 11. Deseń na patarafkę.

Materjał: Kolorowy tybet; czarny, pąsowy, żółty i zielony kordonek.

Deseń powyższy wyszyty w pięknym doborze kolorów krzyżykami, podłużnym i sznurkowym ściegiem z literami w środku służyć może również na poduszkę, uzupełnioną wkoło atłasową bufą. Deseń wyszyty na szafirowym tybecie, wymaga na główny deseń, czarnym dzierganiem ozdobiony, żółtego kordonku, między niemi będące wyszycie, jest czarno stembnowane i okręcone pąsowo. Krzyżykami odznaczone zęby wokoło powinny być żółte i pąsowe. Długie ściegi w środku deseniu są różnokolorowe. W ząbki wystrzygana 2 c. szeroka riusza, jedwabiem spajana, zdobi patarafkę wokoło.

N. 12. Duży okrągły kapelusz z bukietem polnych kwiatów.

Nie bardzo strojny, ale praktyczny na wieś kapelusz z włoskiej słomy, ma wokoło rondka, czarnym jedwabnym rulonikiem przytwierdzoną takąż 4 c. szeroką koronkę. Resztę ubrania stanowi 6 cent. szeroka czarna wstążka i bukiet polnych kwiatków z kłosami.

N. 13. Perkalowy podróżny kapelusz.

Główka na sztywnym tiulu dana z popielatego perkalu, wymaga owalu $25^1/_2$ cent. długiego, a $20^1/_2$ cent. szerokiego. Rondko stanowi 117 c. długi a 13 cent. szer. pas w dwoje złożony i na $2^1/_2$ cent. od brzegu naciągnięty drutem dwa razy. Przed wsunięciem druta, należy go wpierw żelazkiem skarbować, druty mają jeden 72 drugi 44 cent. długości. Po spojeniu główki z rondkiem, trzeba go podszyć perkalem. Garnirunek stanowi w zęby wycinana riusza 6 cent. szer. podwójnie kontrafałdowana i kokarda dana do dołu oszyta białą koroneczką, ze 160 cent. długiego a 10 cent. szerokiego pasa. Szarfy perkalowe, służą do wiązania.

N. 14. Kapelusz krepowy.

Diadem szafirowéj pameli ozdabia 4 cent. szer. riusza z podwójnéj krepy; takąż riuszą na druciku, podszywa się kapelusz pod spodem. Tył pokrywa podwójny welon, złożony z dwóch sztuk 28 cen. szerokich 20 i 35 c. długich. Frendzelkę stanowi, wysiepana $2^1/_4$ cent. szer. wstążeczka. Pęk modraków, z kłosami w krepie upięty zdobi lewą stronę, kokarda rypsowej wstążki z wysiepanemi końcami, prawą stronę kapelusza.

N. 15 i 16. Okrągły kapelusz z szyszek.

Nieco śmiesznym może się wydać pomysł kapelusza, przecież widzieliśmy go w naturze ne eleganckiéj główce, jak na ryc. 4 w N. 25 Tyg. i wydał nam się z pękiem mchu popielatego z żołędziami prawdziwemi i brązowym gazowym woalem, dość wdzięcznym wybrykiem mody, zwłaszcza, że doskonale odpowiadał kostiumowi „écru." Znosi też wytrwale niewygody podróży i po wielkim deszczu lub kurzu, szczotką wyczyszczony, odzyskuje swój naturalny połysk, przewyższając elegancją tyle używane w drodze ceratowe kapelusze. Ryc. 16. przedstawia próbkę jego urządzenia, na sztywnym fasonie. Zaczynając większemi łuskami od brzegu rondka, szyje się ciągle wokoło, najmniejsze zostawiwszy na główkę.

Podszyty brązową materją, w miejsce leśnego bukietu ozdobić go można aksamitem lub piórami.

N 3. Deseń na pokrycie mebli, do wyszycia portjery itd. Haft na suknie w dwóch cieniach. Wielkość naturalna.

N. 17—19. Kapelusz słomkowy.

Ryc. 19 podaje próbkę nowego plecenia słomy, która kolorowym kordonkiem spajana, ładną tworzy całość. Na fasonie pleciony, od główki zaczęty, kapelusz ten ukształtowany podług woli i cokolwiek nagumowany, podszywa się materją i ubiera wstążką i piórami jak na ryc. 17.

N. 20. Okrągły kapelusz z włoskiéj słomy.

Brzeg wywinięty kapelusza, obejmuje się szafirowym aksamitem. Związane pięknie ubranie z szafirowéj aksamitki 7 c. szerokiéj i takiejże wstążki, objaśnia ryc. 20. Do tyłu zsunięty bukiet modraków z kłosami, dopełnia całości.

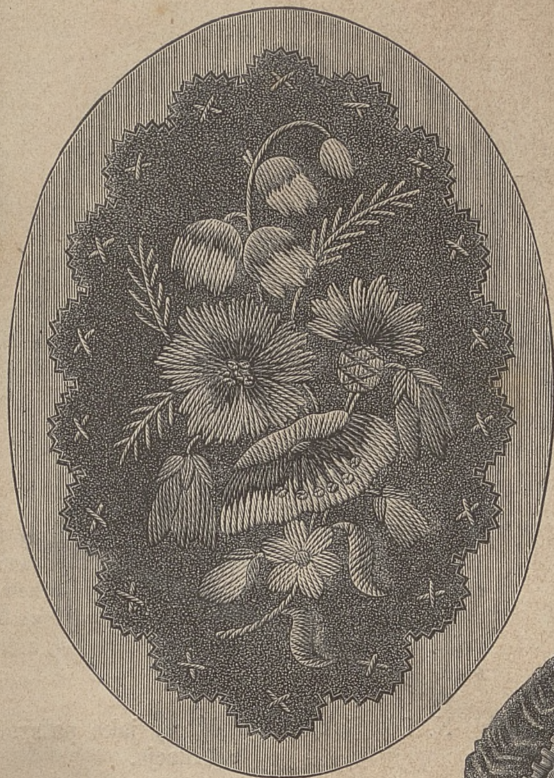
N. 21—22. Włosianka z turniurą.

Miejsce krynolin zastępujące włosiane spódnice, zmusiły nas do wzmianki cokolwiek dłuższéj o tym nowym artykule mody. Na ryc. 22 zamieszczamy taką spódnicę, przykrojoną podług Fig. 45 i 46 na dodatku do N. 18 i 19 Tyg. Mód. Od góry perkalowa 103 c. z tyłu, 94 c. z przodu długa a 220 c. u dołu szeroka, obkłada się na wysokość 53 c. włosiennicą ze skośno ściętym przednim brytem w górze. Ukośne boki i dwa tylne bryty, krają się z ukośno przecinanéj szerokości bryta, uważając aby w szwach wypadał ukośny brzeg z prostym, z wyjątkiem dwóch skośnych brzegów w szwie tyłu. Dół oblamowany i sznurem oszyty, ma 17 c. szer. kontrafałdowaną falbanę dość szeroką włosianą. Pasek perkalowy ściągany, 5 — 6 c. szer. obejmuje górny brzeg spódnicy. Turniura z perkalu sznurowego 45 c. długa jak ją nieściągniętą na ryc. 21 przedstawiamy, wymaga prostego kawałka 110 c. długiego, a 78 cent. szerokiego. Objęty szeroko, wydzierganym perkalem, składa się we dwoje, żeby górna połowa 33 c. długości liczyła i podszywa tasiemką lub mocnym sznurkiem do ściągania.

Wykrochmalona i gorącym żelazem wyprasowana, otrzymuje wymagalną sztywność.

Opis N. 27.

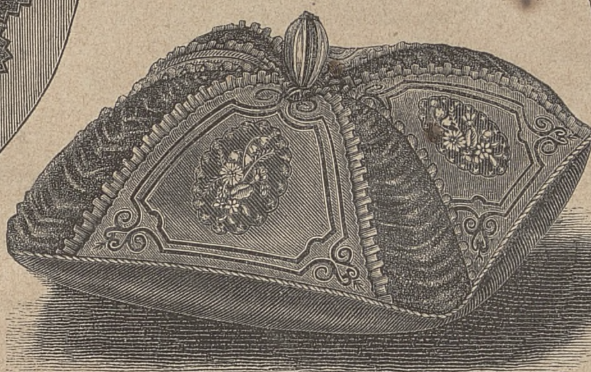
Opis do N. 1 i 2 na dodatku z krojami.



N. 6. Medaljon do poduszki pod nogi. Do ryc. 5.



N. 4. Szydełkowy pas na kołdry, dywaniki i t. d.



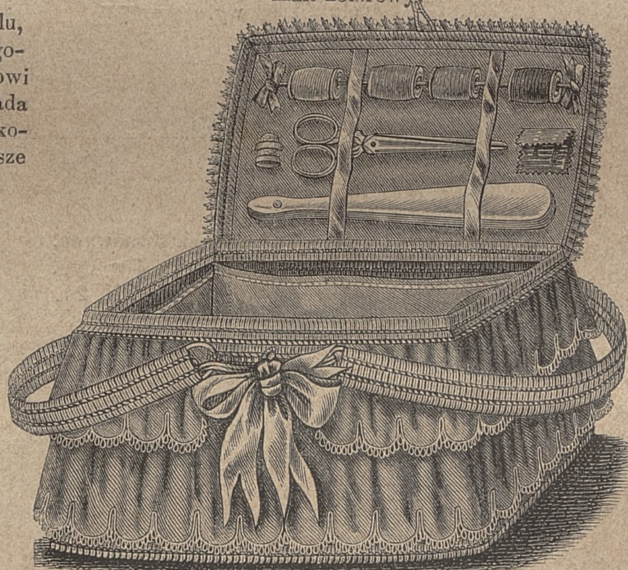
N. 5. Poduszka pod nogi w medaljony. Haft kolorowy.



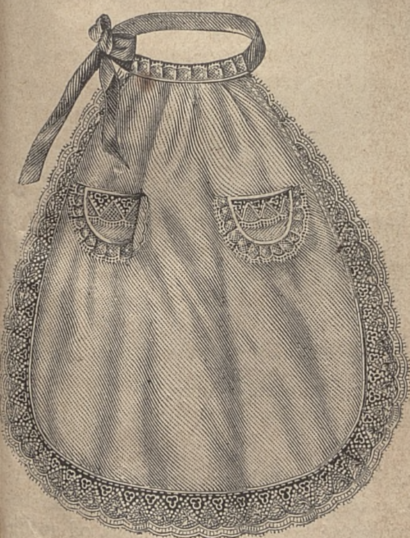
N. 7. Medaljon do poduszki pod nogi. Do ryc. 5.

N. 3. Kokarda do kołnierzyka

Do odszycia téj kokardy na kawałku sztywnego tiulu, rozdziela się 90 cent. wstązki, 6 cent. szerokiéj jakiegokowiek koloru, na trzy równe części. Jedna z nich stanowi końce wysiepane brzegiem na 6 cent. z drugiéj układa się na dół dwa wielkie pukle, z trzeciéj wiąże małą kokardę. Końce koronkowe, podłożone pod dwa większe pukle, jak to wskazuje rycina, przecina się z kwadratu tiulu 28 cent. długiego, oszytego koronką 2 cent. szeroką. Węzeł w kokardzie oszyty jest także marszczoną koronką. Od spodu przymocowywa się dwie śpilki do przypinania kokardy.



N. 8. Koszyk do robótek damskich. Zobacz rycinę 3 w Tyg. Mód N. 24.



N. 9. Muślinowy fartuszek z koroneczką i haftem.



N. 10. Fartuszek koronką oszyty.

N. 6. Kołnierzyk z koronek z haftowaną aplikacją.

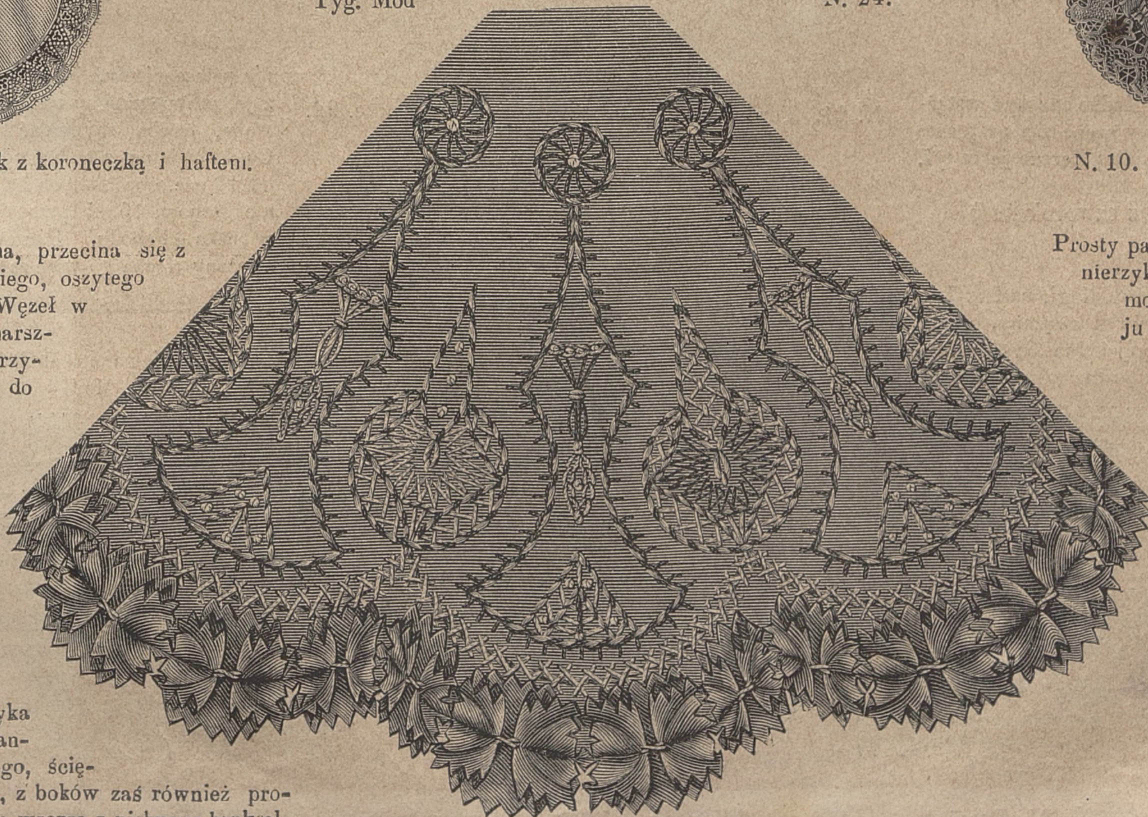
W wązkim pasku kołnierzyka 54 cent. długim, wszyte ranwersy wraz z koronką, zajmują po 22 cent. tak, iż na tył kołnierzyka pozostaje tylko 10 cent. Ranwersy mające z brzegu dolnego, ściętego prosto 12 cent. długości, z boków zaś również prostych 14 cent., są na naszym wzorze z pięknego brukselskiego tiulu i 2 cent. szerokiéj wstawki koronkowéj odszyte. Złączenie koronki i tiulu przykryte jest wązkim aplikowanym paskiem, odpowiednim aplikacji kwiatu na tle tiulowem. Na ten cel służyć mogą części haftu, wycinane z haftów już noszonych. Pasek aplikacji stanowi także przyozdobienie tylnéj części kołnierzyka, oszyte marszczoną koronką 2 cent. szeroką, którą rurkuje się na okrągłem żelazku.

N. 7. Kołnierzyk z haftem gipiurowym.

Prosty pasek stanowi również podstawę kołnierzyka, tylko wielkość rozmiarów tego modelu jest większa. Obwód wykroju ma 63 cent. długości a proste strony ranwersów po 13 i 16 cent. Ranwersy odszyte ze wstawki i szlaku haftem gipiurowym, przy tle z cienkiego płótna i zakończone 3 cent. szeroką fałdowaną koronką.

Opisy od N. 8 do 19 włącznie, w dodatku z krojami.

N. 20—23. Rozmaite brzeżki do fartuszków N. 1—2 i innéj bielizny.



N. 11. Deseń na patarafkę lub pokrycie na poduszeczkę do śpilek.



N. 12. Duży okrągły kapelusz słomkowy z bukietem polnych kwiatów.

N. 24 — 25. Dwa negliżowe czepeczki alzackie.

Wysokie upięcie będące bardzo do twarzy wielu osobom, przypominające sposób ubrania głowy alzackich wieśniaczek, nadało czepeczkom odszytym z trójkątnego lub czworokątnego kawałka muślinu, nazwę alzackich.

N. 24. Czepeczek alzacki z trójkątnéj chusteczki.

Trójkątna chusteczka z cienkiego muślinu powinna mieć ze stron prostych po 55 cent. długości; śpiczaste końce 22 cent. wysokie, oszywa się piękną koronką „bruges“ 6 cent. szeroką, która dana jest również i ze skośnego brzegu. Części nieoszyte układają się w bufy i przyszywają do podstawy muślinowéj, podszytéj agremanem. Jeżeli podstawa jest 20 cent. długa to ząb przedni powinien być 10 c. szeroki przez środek.

Buffy podniesione są bardzo wysoko, przód czepeczka ogarnirowany



N. 17. Kapelusz słomkowy lub z papierowych plecionek.

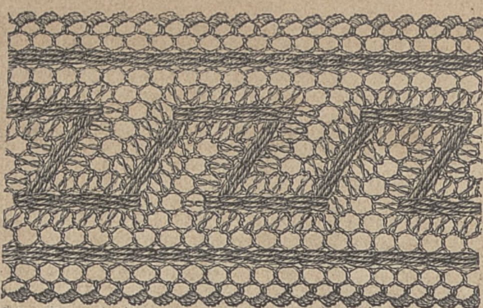
jest koronką, nad którą przechodzi gładko opasana wstążka. Do końców sztywnéj podstawy czepeczka przyszyte są końce, które wiążą się z przodu lub przerzucają w tył.

N. 25. Czepeczek alzacki z czworokątnéj chusteczki.

Kawałek sztywnego tiulu 27 cent. długi, nad czołem w ząb 6 i pół cent. ścięty, a ku końcom zwężony, oszyty drucikiem stanowi foremkę, na któréj upina się chusteczka kwadratowa tiulowa lub muślinowa, oszyta 3 cent. szeroką koronką. Chusteczka oprócz koronki ma 38 cent. w kwadrat. Jeden prosty brzeg, ułożony w kontrafałdy, przyszywa się do foremki w ten sposób, iżby tworzył garnirunek przy twarzy. Za garnirunkiem układają się bufy, reszta zaś chusteczki nakształt woalika spada na tył głowy. Wązka kolorowa rypsowa wstążka, przepasana jest między garnirunkiem i bufami, daléj służy za końce do wiązania. Kokarda nad czołem i od tyłu za bufami jak i długie na chusteczkę spadające końce, są z czarnéj 4 c. szerokiéj aksamitki.

N. 26. Bukiet szydełkowy jako patarafka lub aplikacja.

Powyższy wzór odrobiony z białéj średniéj grubości bawełny, służyć może jako patarafka pod drobiazgi toaletowe; zaś z jedwabiu czarnego lub kolorowego stanowić będzie bardzo ładną aplikację na poduszki do igieł. Robotę liści i gałązek opisywać nie potrzebujemy, bo ją rysunek nader dokładnie wskazuje, przypominamy tylko że na robotę w prążki karbowane, trzeba zajmować szydełkiem w oczka od spodu. Co do kwiatów z tych środkowy największy zaczyna się od 12 ocz. obrobionych 18 lub 20 śc. o. Drugie obrobienie stanowi 15 sł. przedzielanych 1 o. p. zajmowanych w oczka od spodu. Ponieważ ten rząd przy ogonku jest zwężony trzeba go więc zakończać o. ścisłemi.



N. 23. Deseń do wyszycia pasów tiulowych na kołnierzyk do ryc. 35 w Tyg. Mód N. 24.



N. 13. Kapelusz podróżny z perkalu.



N. 14. Kapelusz krepowy.



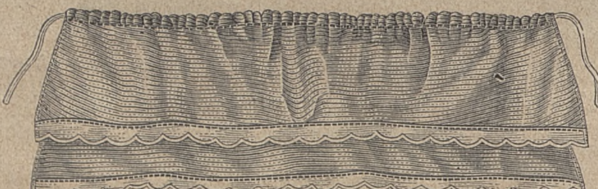
N. 15. Kapelusz okrągły z szyszek sosnowych. Zobacz ryc. 4 w Tyg. Mód N. 24.



N. 20. Kapelusz z włoskiéj słomy.

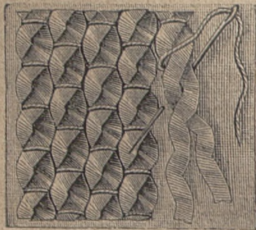


N. 18. Kapelusz do ryc. 17.



N. 21. Turniura do spódniczki włosienicowéj. Ryc. 22.

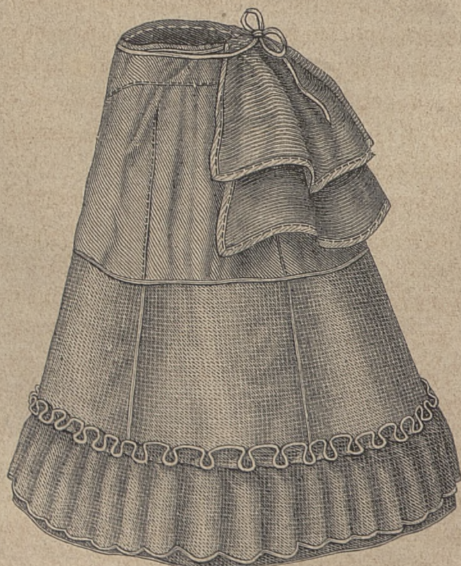
Dalszy ciąg opisu dodatku numeru 27 nastąpi w Nrze 27 Tygodnika Mód.



N. 19. Przymocowanie papierowych pasków do ryc. 7.



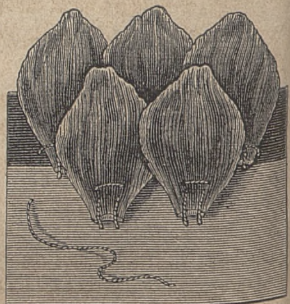
N. 24. Deseń do wyszycia pasów tiulowych na szmizetki i rękawki.



N. 22. Spódniczka włosienicowa z turniurą.



N. 25. Deseń do wyszycia pasów tiulowych na szmizetki i rękawki.



N. 16. Przymocowanie cząstek z szyszki sosnowéj na kapelusz. Do ryc. 15.